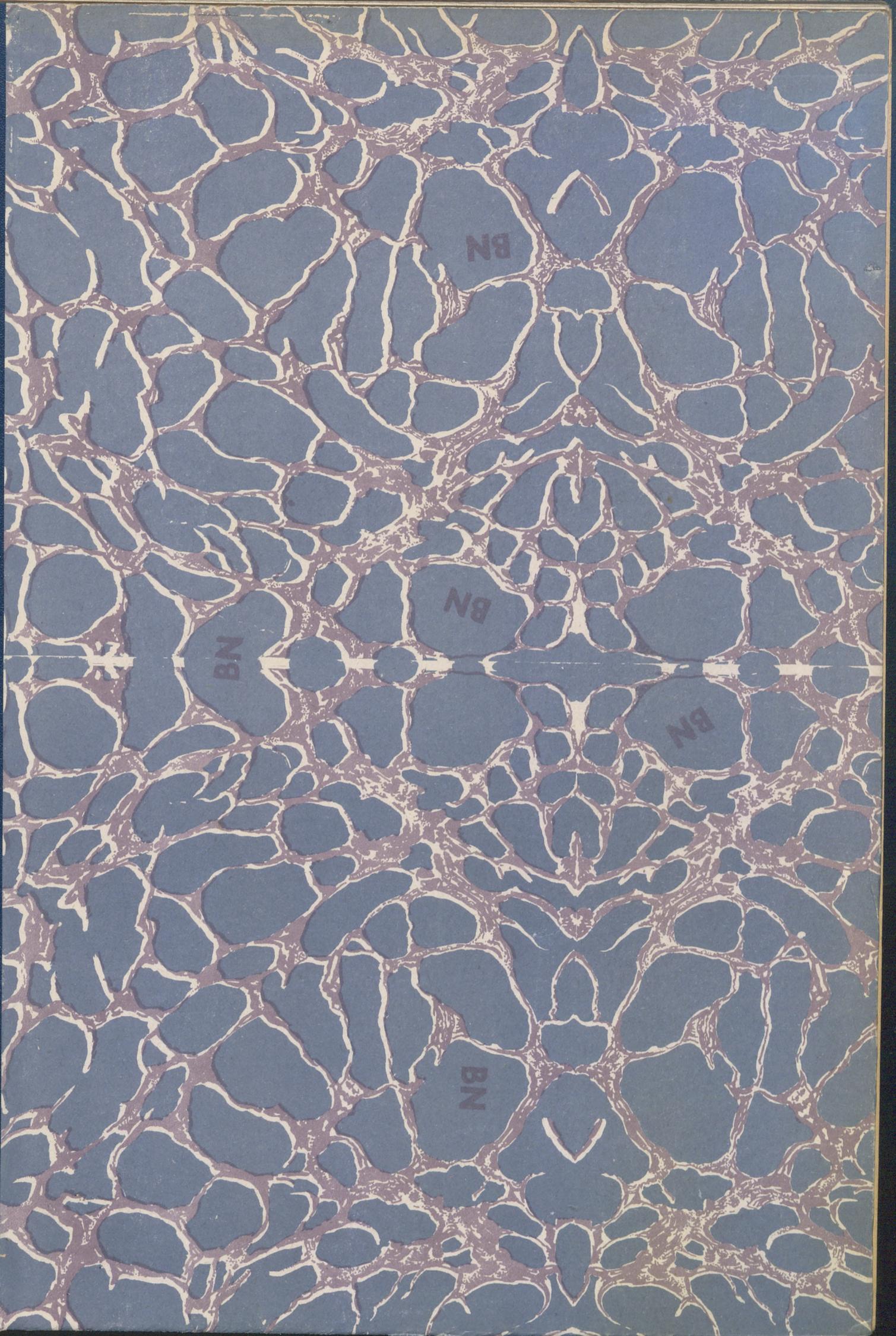


26

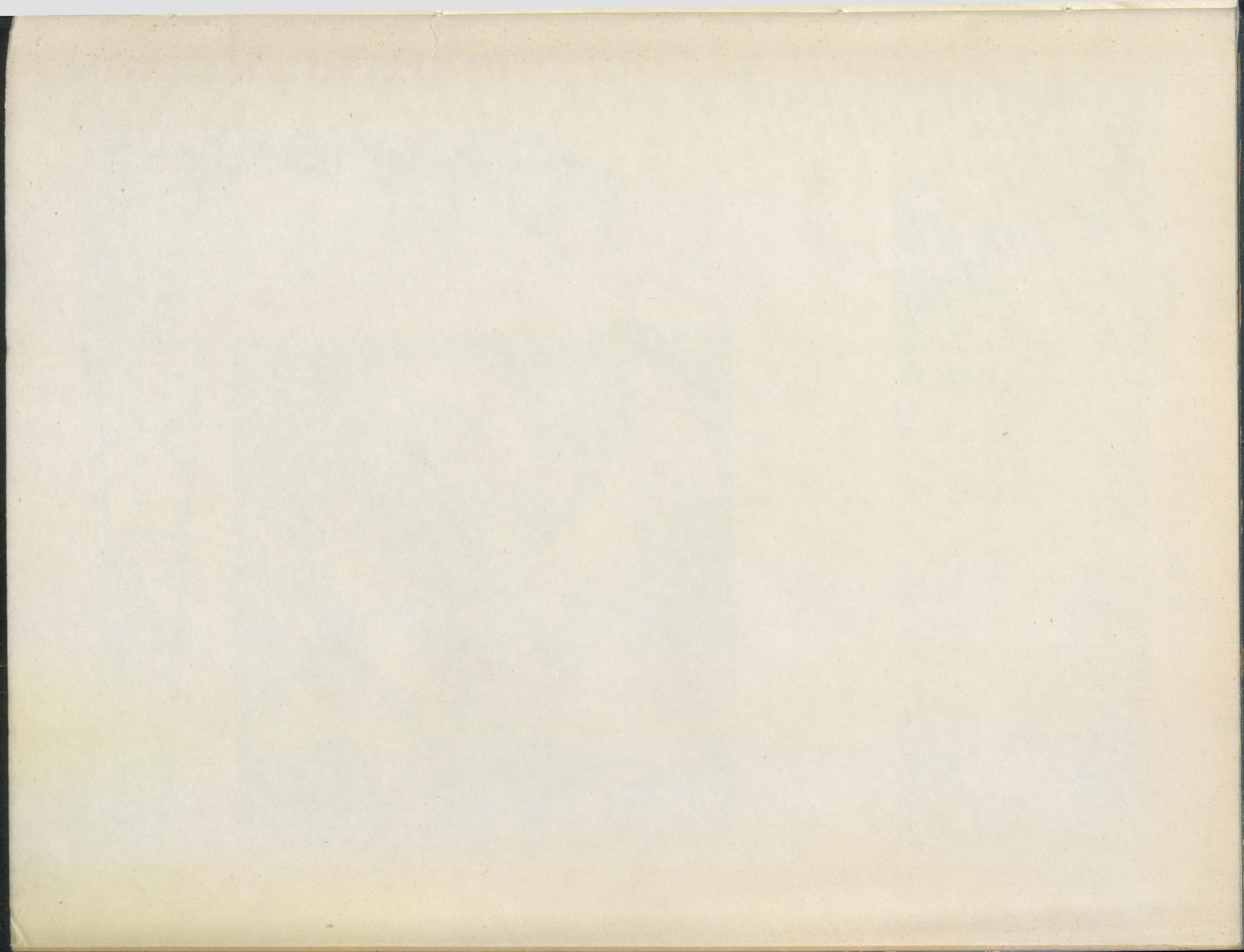
623405

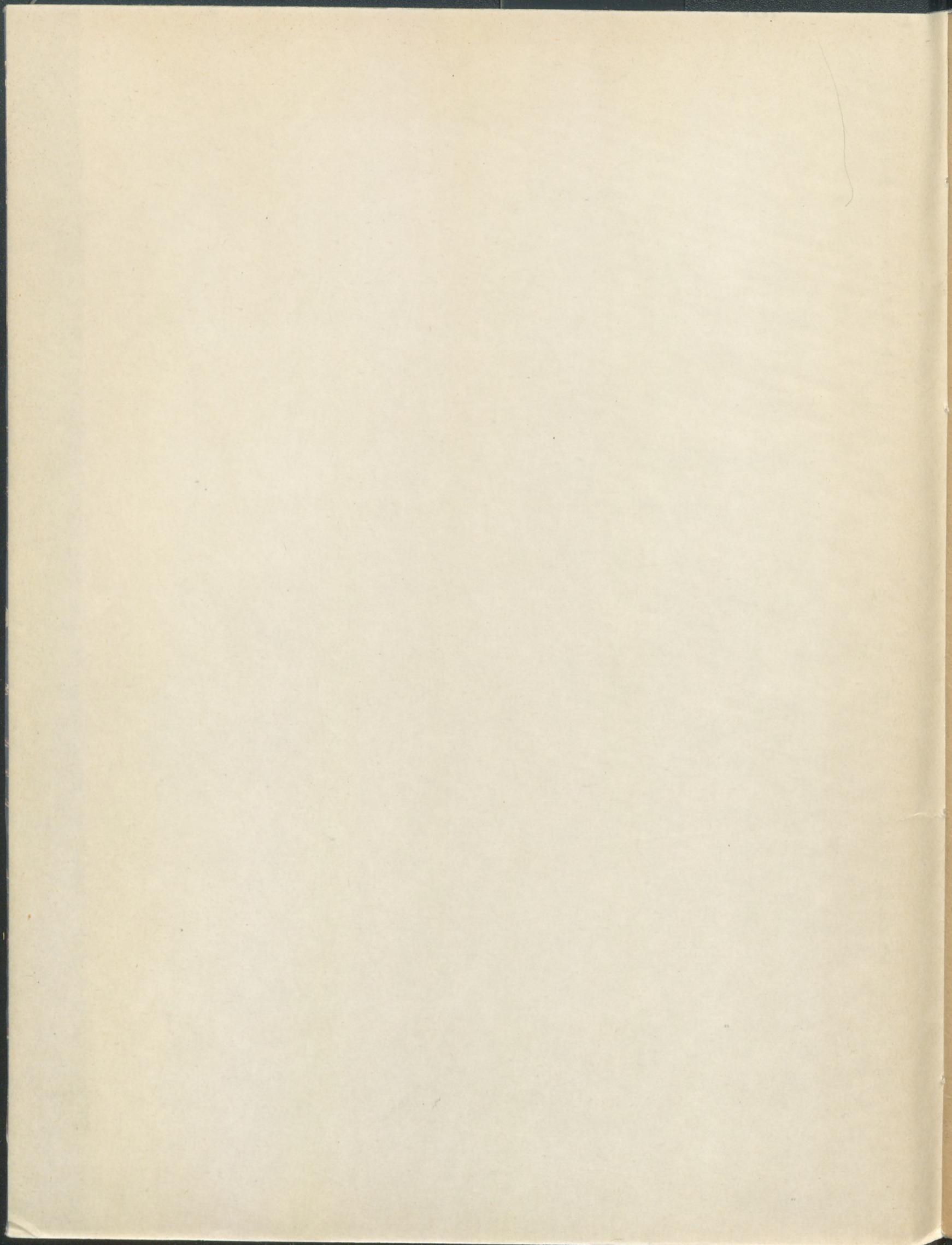




BN

This page is blank and contains no text or illustrations.





III. 623.405/26



Nr. 26.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

# WIELKA GRA





# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

# WIELKA GRA

### „Uczeń czarnoksiężnika“

— Nieźle, wcale nieźle, młodzieńcze!

Było to powiedziane łaskawym głosem, w którym jednak przebijała nuta niechęci: czy też zazdrości. Mówił to Goodfield, super-intendent Scotland Yardu, do młodego człowieka o szczerych oczach i ciemnych, wijących się włosach, który wyglądem swym przypominał raczej poetę, niż detektywa. I rzeczywiście, Georges Castairs był dopiero uczniem wszech-nauk policyjnych i kryminalnych i mając rekomendacje wysoko postawionych osobistości, stawiał swe pierwsze kroki w walce z występkiem.

Przeprowadził był właśnie śledztwo w dość delikatnej sprawie: urzędnik, banku niezwykle zręczny defraudant od wielu lat sprytnie unikał przyłapania go na gorącym uczynku.

Goodfield trzymał w ręku mały zeszytek i prze-rzucał kartki, mruczając jakieś niewyraźne słowa.

— Widzę że ma pan za sobą gruntowne studia. Jest pan sierota, opiekunowie posyłają pana do Eton potem do Oxfordu: zdobywa pan tam pewien stopień wykształcenia... jest pan przecież doktorem praw! Następnie wbił pan sobie do głowy chęć pracy w policji. Nędzny to pomysł, synu, gdyż zawód ten nie tylko jest licznie obsadzony, ale także posiada więcej kolców, niż róż! Zresztą udało się to panu i to jest najważniejsze. Otrzymał pan awans na sierżanta, to bardzo dużo, jak na początkującego i ja sam...

Miał zamiar rozpocząć opowiadanie o swej długiej, pracowitej karierze gdy nagle rozmyślił się:

— A propos, Castairs, tego wszystkiego nie uczą przecież na uniwersytecie, a mimo to wykazał pan doskonałą orientację. Ciekaw jestem, w jakiej szkole nabył pan te wiadomości!

Młodzieniec roześmiał się wesoło:

— W szkole Harry Dicksona, panie super-intendencie!

Goodfield nastawił uszu:

— Jakto, pan zna Harry Dicksona?

— Niestety nie, widziałem tylko jego fotografię, ale zdaje mi się, że znam jego wszystkie przygody od A do Z, przynajmniej te, które poda-no do wiadomości publicznej. Korzystałem trochę

z jego niektórych metod: nie lekceważyć szczegółów, wierzyć w wielką moc psychologii i ryzykować swoim życiem.

— Tak, — mruknął policjant i znów nuta zazdrości zadźwięczała w jego głosie — tak, śledztwo, które pan przeprowadził właśnie tego do-wodzi. Ale chyba pan sobie nie wyobraża, że zostanie pan odrazu Harry Dicksonem, co, mój chłopcze?

Młody człowiek zaczerwienił się i uczynił nieśmiały gest protestu.

— Ach więc przyłapałem cię, plotkujesz na mnie za moimi plecami! — zawołał ktoś głośno. Goodfield odwrócił się ze złością w stronę uchylonych drzwi:

— Kto śmie... — zaczął lecz wtem twarz jego rozjaśniła się:

— Mister Dickson! jak to ładnie że nie zapomina pan o starych przyjaciółach! Czy mogę przedstawić panu kogoś, kto marzy o tym, aby zastąpić pana, gdy z tego padółu leż przeniesie się pan do świata, jak mówią, lepszego?

Harry Dickson uśmiechnął się i spojrzenie jego padło na elegancką sylwetkę młodzieńca siedzącego naprzeciwko Goodfielda.

Castairs uklonił się, zaczerwienił jeszcze mocniej i nagle poczuł się nieswojo, jakgdyby zażenowany obecnością sławnego człowieka.

— A więc, — ciągnął dalej Goodfield, — przedstawiam panu Georgesu Castairsa, doktora praw, docenta... właściwie wszystkich rzeczy niepo-trzebnych w naszym zawodzie, a których nazwy mogą przywoitych ludzi przyprawić o ból głowy! Od piętnastu minut jest on sierżantem, a oto z jakiego powodu:

Goodfield, najkrócej, jak mógł, opowiedział przebieg śledztwa Castairsa, które zakończyło się tak pomyślnie. Harry Dickson słuchał uważnie, z twarzą obojętną, lecz w oczach jego pojawiał się od czasu do czasu błysk humoru. Gdy Goodfield zakończył swe opowiadanie, wyciągnął rękę do młodzieńca:

— Doskonale, panie Castairs, to była bardzo dobra robota, a pracował pan w najkrótszym czasie, przy najwyższej inteligencji. Niech pan nie oczekuje ode mnie większej pochwały, a teraz,

Kiedy wróci pan do domu, niech pan przeczyta raz jeszcze „Ucznia czarłnoksiężnika“ Goethego.

Castairs roześmiał się, w sposób, który czynił go tak sympatycznym:

— Znam ten nieśmiertelny poemat, — odpowiedział, — i rozumiem pana, Sir! Chce pan zapewne powiedzieć, że człowiek, który podejmuje walkę z występkiem naraża się siłom strasliwym, które często obrócić się mogą przeciwko niemu!

— Bardzo dobrze, sierżancie, — rzekł Harry Dickson, uśmiechając się zlekka.

— Drogą Dicksonie, — rzekł Goodfield, — sierżant Castairs został mi polecony przez bardzo poważną osobistość polityczną. Jeżeli pan mógłby zainteresować się od czasu do czasu jego karierą wyświadczyłby pan i mnie wielką przysługę!

Harry Dickson potrząsnął wesoło głową:

— Ależ niczego więcej nie pragnę, kochany Goodfieldzie!

— Nigdy nie śmiałem spodziewać się takiego szczęścia! — wyjąkał oszołomiony Castairs.

Harry Dickson zamyślił się poważnie:

— Nie mam w sobie nic z profesora, — rzekł wreszcie, — ale uważam, że byłoby zbrodnią stłumić takie zdolności, jak pańskie, młody człowieku! Mam u siebie ucznia, Toma Willisa, którego nazwisko jest panu zapewne znane. Towarzyszy mi on w moim niespokojnym życiu i uczy się tego, czego chce się uczyć, a raczej tego, czego może: często niema w tym nic ważnego, ale trzeba mu przyznać, że ma już za sobą kilka ładnym zdobyczy. Nie mam zamiaru brać sobie drugiego pomocnika, panie Castairs, ale pomimo to nie pozwolę panu zmarnować się. Jeżeli mój przyjaciel Goodfield pozwoli, weźmie pan udział w najbliższej wyprawie...

— Jeżeli ja pozwolę! — zawołał Goodfield, — Ależ ja pana błagam na kolanach, Dickson, proszę po myśleć, Castairs został mi polecony o—so—bi—ście przez wpływową osobistość polityczną...

— Przez kogóż to, jeśli wolno spytać?

— Przez Sir Rogera Hatterburna we własnej osobie! — rzekł Goodfield z dumą.

Harry Dickson gwizdnął przeciągle:

Sir Robert Hatterburn, znany historyk, wielki uczony, prywatny doradca Jego Królewskiej Mości, to było nazwisko, a w dodatku przyjaźń, z której można było być dumnym.

— Czy mogę pana zapytać, panie Castairs w jaki sposób Sir Hatterburn, który jest człowiekiem poważnym i odludkiem, zainteresował się panem, aby ułatwić panu wstąpienie do policji?

— To bardzo proste, Mr. Dickson, — rzekł młody sierżant, — przez matkę jestem jego kuzynem, ale te więzy rodzinne nie miały tu znaczenia. Jak panu zapewne wiadomo, Sir Hatterburn wygłasza często odczyty historyczne na Uniwersytecie w Oxfordzie. Pewnego dnia jedna z jego książek, bardzo cenny egzemplarz znikła z pokoju prelegenta w dniu, jego przybycia do Oxfordu. Był nietylko zasmucony, lecz niepokieszony, znalazłem tę książkę lecz nie wykryłem sprawcy kradzieży. Nie chciałem tego zresztą wcale, gdyż nie uważałem za stosowne oskarżać któregośkolwiek z towarzyszy. Sir Roger podziękował mi serdecznie i przyrzekł swoją pomoc w razie potrzeby. Widzi pan, do czego jej użyłem!

— Doskonale! — rzekł Harry Dickson, niewątpliwie wkrótce się spotkamy, panie Castairs, gdyż przestępstw nigdy nie braknie na naszej ziemi!

W kilka dni później został zamordowany oberżysta Pollock w Bushtre, niedaleko Chipping Barnet.

★

Bushtree jest to mała osada, leżąca na drodze z Chipping do Totteridge. Składa się z kilku domków, wśród których na pierwszy plan wysuwa się oberża „Arka Noego“, należąca do Sama Pollocka. Ponieważ ten ostatni był jednocześnie poczmistrzem, więc gdy dowiedziano się o morderstwie, zwróciło to szczególną uwagę policji, dziennikarzy i wyższych władz.

Oberża „Arka Noego“ położona była przy rzadko uczęszczanej drodze. Samochody nie zatrzymywały się tu nigdy z tej prostej przyczyny, że szosa była fatalna.

Z tego też powodu oberża „Arka Noego“ nie miała licznej klienteli. Sam Pollock obsługiwał swych gości jak umiał najlepiej, z pomocą starej służącej, nawpół głuchej i ślepej, lecz doskonałej kucharki.

Gdy fantazja administracji podniosła Bushtree do godności miasteczka, trzeba było otworzyć urząd pocztowy. Zwrócono się więc do Sama Pollocka, właściciela oberży, który ujrzał w tym fakcie nadzieję na polepszenie swej sytuacji.

Wręczyć cztery listy miesięcznie (często przychodziło po ich odbiór do oberży, co powodowało konsumpcję), trzy lub cztery przekazy, to nie była praca. Życie potoczyłoby się spokojnie w tym zapomnianym zakątku ziemi, gdyby nie padł na niego cień zbrodni.

Mr. Sam Pollock został znaleziony bez życia w swoim zimnym i pustym pokoju, który służył mu za biuro. Został uderzony z tyłu siekierą, która przecięła mu czaszkę, w chwili, gdy przeglądał pocztę.

Poczta była znikoma: jeden do sąsiada Lewis Bella, cztery prospekty, jakieś dzienniki, przysłane do dwóch innych mieszkańców osady, próbki ziarna dla rolnika Seamana i małe tekturowe pudełko, przysłane jako próbka bez wartości do niejakiego Barta Williama, a na którym Sam Pollock napisał: „nieznany“.

Szeryf z Chipping Barnet, wydał rozkaz, aby nie dotykano niczego i postawił posterunek przed drzwiami. Potem zadzwonił do Londynu.

Scotland Yard nie opóźniał się nigdy z przyjaznieniem swych ludzi, ale nie byłby się zwracał do Harry Dicksona gdyby nie Administracja Poczty pedantyczna i skrupulatna, która wymagała pełnego oświetlenia tej sprawy.

To sprawiło, że w kilka godzin po wykryciu zbrodni zjawili się na miejscu Goodfield, Harry Dickson, dwóch inspektorów i Georges Castairs, ten ostatni z gorącym pragnieniem wyróżnienia się.

Inspektorzy podnieśli zwłoki i ułożyli je w sąsiednim pokoju, oczekując przybycia lekarza sądowego. Goodfield przesłuchiwał starą Madge i innych mieszkańców wioski, lecz nie dowiedział się nic ciekawego.

Harry Dickson non stop przechadzał się po pokoju. Castairs nie odstępował go ani na krok. Nagle detektyw zatrzymał się i zwrócił się do młodzieńca:

— No i cóż, Castairs, co widzisz ciekawego w tej sprawie, to znaczy czy coś specjalnego przykuło twoją uwagę?

— Narzędzie zbrodni, — odrzekł sierżant, — należy do ofiary, jest to siekiera do rąbania drzewa, a rękojeść jej została starannie wytarta przy pomo-

cy wilgotnej ściereczki, co uniemożliwia znalezienie jakichkolwiek odcisków palców.

— Dobrze, — powiedział detektyw — to świadczy, że zbrodniarz posiadał pewien rozsądek oraz znajomość metod policyjnych! Czy to wszystko?

— Nie, Sir, godzina zbrodni jest łatwa do ustalenia, nawet bez oględzin zwłok: moim zdaniem było to między dziewiątą a dziesiątą wieczorem.

Masz rację, — rzekł Harry Dickson i twarz jego rozjaśniła się. Może zechcesz mi powiedzieć, na czym opierasz swoje twierdzenie?

Georges Castairs zaczął mówić szybko i monotonnie, jakgdyby recytował na pamięć wyuczoną lekcję.

— Poczta przybyła o siódmej. W oberży był tylko jeden klient, wiemy o tem, Mr. Wapp, którego Sam Pollock prosił, aby powiedział swemu sąsiadowi, Lewis Bellowi, że jest list dla niego. Wiemy także, że Mr. Wapp spełnił swe polecenie około dziewiątej; o tej porze stara Madge Evans poszła spać. Jej pan usiadł wtedy za biurkiem. Zbrodniarz musiał wejść do oberży między dziewiątą a dziesiątą, i nie obudzwszy czujności oberżysty, zabił go. Lampa, którą Magde napełniała naftą, jak to zwykle czyniła, była zapalona o dziewiątej przez Pollocka, a nie paliła się dłużej, jak godzinę, dowodzi tego zużycie oliwy. Zbrodniarz, zadawszy cios, musiał ją zdmuchnąć.

— Dalej, sierżancie! — zachęcał go Dickson.

Georges Castairs miał minę zakłopotaną:

— Niech mnie pan nie posądzi o fantazję, Mr. Dickson! — wyszeptał.

— Proszę się nie zrażać, młodzieńcze, zapewniam pana, że jest pan na dobrej drodze!

— A więc, jeśli zgasił lampę, to znaczy, że nie chciał, aby jakiś spóźniony przechodeń zrobił tak jak on, t. zn.: spojrzął w okno!

— Brawo! — krzyknął Harry Dickson, — Więc zbrodniarz zajrzał w okno i coś zobaczył!

— Za wiele pan już ode mnie wymaga! — szepnął zmieszany Castairs.

— A jednak ja powiem to panu, „uczniu czarnoksiężnika“! Zobaczył Sama Pollocka, gdy ten otwierał pudełko, zawierające próbkę bez wartości. Zobaczył jego zawartość i uznał, że warta jest narażenia się na szubienicę i obciążenia swego sumienia zbrodnią.

Harry Dickson wziął małe pudełeczko i ważył je w rękę:

— Puste... a oto sznurek, zdjęty przez zbyt ciekawego pocztmistrza leży jeszcze na podłodze..

Georges Castairs patrzył na swego profesora błyszczącymi oczami.

— Pozostało nam tylko dowiedzieć się, co zawierało to pudełko!

Odwrócił próżne pudełko dnem do góry nad stołem i wytrząsnął je: parę małych płatków za-trzepotało w powietrzu.

— W środku była wata, — oświadczył, — a teraz niech mi pan powie, Castairs, jakie przedmioty układa się zwykle w pudełkach z wata, aby je wyśląć?

— Drogie kamienie! — krzyknął Castairs.

— Właśnie! Zabawna to rzecz, przesyłać je jako próbki bez wartości a jednak często praktykowaną przez bandy złodziejskie.

— Doprawdy? — zdziwił się młodzieniec.

— Tak, mój drogi, niema przesyłki, która wzbudzałaby mniej zainteresowania jak próbka bez wartości. I o tem złodzieje dobrze wiedzą.

— Ale ten nieznaną adresat... — zaczął Castairs.

W tej chwili wszedł Goodfield i zaczął zdawać raport. Gdy skończył, był już wieczór i trzeba było wracać do Londynu.

W samochodzie Georges Castairs trzymał się przy boku Harry Dicksona.

— No i cóż, mój młody przyjacielu, czy widzisz pan już teraz jaśniej?

„Uczeń czarnoksiężnika“ jęknął:

— Niestety nie, Mr. Dickson, obawiam się, że będę zawsze tylko marnym detektywem!

## Umarli z Bushtree

W dwa dni później około dziewiątej, na biurku Harry Dicksona, w chwili, gdy ten kończył śniadanie w towarzystwie Toma Willsa, zadzwonił telefon. Był to Goodfield, który pilnie domagał się rozmowy.

— Jest dla nas praca w Bushtree, Dickson, — zawołał, — zbrodniarz został zatrzymany dzisiaj rano przez policję miejscową z Chipping Barnet ale zdążył już obciążyć swoje sumienie jeszcze jedną zbrodnią, dokonaną na Lewis Bellu! Niech pan przygotowuje się do drogi, auto policyjne będzie przed bramą za kwadrans!

— Biedny Castairs — mruknął Harry Dickson, — ta sprawa nie przyniesie mu sławy!

Auto Goodfielda zawarczało przed bramą. Superintendent był w towarzystwie „ucznia czarnoksiężnika“, który miał minę zachwyconą.

— Opowiedz mi dokładnie przebieg zdarzenia, Goodfield! — rzekł detektyw.

— Domownicy Lewis Bella znaleźli jego zwłoki, dziwił się, że nie wstał on tak wcześnie rano, jak to było w jego zwyczaju. Leżał przy łóżku, zabity jednym uderzeniem noża w samo serce. Jeden z domowników pojechał motocyklem po szeryfa do Chipping Barnet i ten pośpieszył z nim zaraz z powrotem. Gdy zbliżyli się do fermy ujrzeni w bladym świetle wschodzącego słońca jakiegoś człowieka o nieprzyjemnym wyglądzie, który próbował ukryć się za stosem chróstu. Nie mieli najmniejszej trudności ze schwytaniem go i skłonieniem do zeznań. Właściwie nie można tego nazwać zeznaniami, gdyż człowiek ten zaprzecza kategorycznie, jakoby uczestniczył w zbrodni, twierdzi, że jedynie przypadek kowo był tam obecny. Zabawne, prawda?

— Mów dalej, Good...

— Powtarzam panu to, co opowiedziano mi przez telefon. Człowiek ten, nazwiskiem Wall Bradeck, stary znajomy Yardu, nie ma u nas opinii wielkiego kryminalisty. Zwykły złodziej, który żyje z kradzieży i łajdactwa, nie cofając się nawet przed włamaniem. Powiedział, że wszedł do domu Bella, aby kraść, gdyż wiedział, gdzie Bell przechowuje swoje oszczędności. Ale on nie zabił, widział tylko, to wszystko. Przyciśnięty przez szeryfa oświadczył, że chce być przesłuchiwany przez specjalistów z Londynu, a nie przez zwykłych wiejskich detektywów. Miał swój honor..

Auto przybyło na miejsce, stanęli przed „Arką Noego“, o zamkniętych okiennicach, bardziej jeszcze ponurą, niż zwykle i pojechali na miejsce drugiej zbrodni.

Ferma Lewis Bella nosiła to samo piętno zaniedbania, co i nieszczęsna oberża. Chałupa cała z szarego kamienia, pokryta była wysokim, słomianym dachem, szerniałym od słońca i deszczu. Kon-

stabil, stojący tu na straży, ujrawszy nadjeżdżające auto, poznał panów z Londynu i wskazał im jakiś przedmiot, leżący na błotnistej ziemi. Było to ciało wielkiego, kosmatego psa, którego zostawiono na noc do pilnowania.

— Zwierzę zostało otrute, — rzekł policjant, — i Bradeck przyznał się, że to on otrul psa pasztetem z arszenikiem.

Harry Dickson spojrział na zwierzę, poczem wydał rozkaz szoferowi:

— Proszę go umieścić w worku, zabierzemy go do Londynu!

Szeryf z Chipping Barnet ukłonił się na progu:

— Przestępca jest w kuchni, strzeżony przez służących. Panowie, — oświadczył, — pozwólcie za mną, zaprowadzę was do zwłok.

Lewis Bell, wysoki, chudy mężczyzna, leżał przy łóżku. Z rany jego mały płynęło krwi, wylew był prawie całkowicie wewnętrzny.

— Hm... — mruknął Georges Castairs, blednąc lekko, — to nie jest piękny widok!

— Czy pan przypuszczał, że w naszym zawodzie będzie pan tylko oglądał różowe i błękitne akwarele, młodzieńcze? — zadrwił Goodfield:

— Czy skonstatawał pan kradzież — zapytał Harry Dickson szeryfa.

— Nie było żadnej kradzieży, Sir, żaden mebel nie został poruszony. Przypuszczam, że morderca przestraszył się, widząc swoje dzieło i uciekł nic nie zabrawszy z sobą.

Obeszli pokój dokoła.

— A pan, Castairs, — rzekł nagle Harry Dickson, — czy nie widzi pan nic, co mogłoby zwrócić uwagę sierżanta brygady kryminalnej ze Scotland Yardu?

— Rzeczywiście, Mr. Dickson, — odparł z prostotą młodzieniec.

— Mr. Goodfield i ja chcielibyśmy bardzo usłyszeć coś o tem!

Ten znak zrobiony węglem drzewnym na ubiełym murze u wezgłowia łóżka!

— To prawda, muszę przyznać panu rację. Proszę wezwać służącego — rozkazał Harry Dickson. Po chwili zjawił się barczysty starzec.

— Nazwisko moje brzmi Merchant, — rzekł, — Bob Merchant, do usług, i gotów jestem pod przysięgą opowiedzieć wszystko, co wiem, ale zdaje mi się, że to nie będzie tak wiele!

— Zobaczmy to później, — rzekł grzecznie detektyw, — czy pan często wchodził do tego pokoju?

— Właściwie... tak i nie, nie miałem tutaj nic do roboty, ale trzeba było tędy przechodzić, aby wejść do następnego pokoju, gdzie znajduje się piec.

— Proszę spojrzeć na ten znak na murze, czy on był tu wczoraj?

Merchant odwrócił zdumione oczy w stronę ściany i potrząsnął głową.

— Jestem pewny, że nie!

— To narazie wszystko, co chciałem wiedzieć, dziękuję Merchant! — rzekł Dickson, zwalnając służącego.

— Pańska kolej, Castairs, proszę zbadać ten znak!

Sierżant usłuchał.

— Został on zrobiony niedawno, — rzekł po uważnych oględzinach — pył węglowy schodził przy najbliższym dotknięciu

To jest duża litera „X“...

— Dobrze spostrzeżenia, a cóż dalej?

Georges Castairs wydał lekki okrzyk:

— Obok narysowano inny znak, ale bardzo nie widoczny, gdyż zrobiony był zbyt mocno... To czwórka. A więc „X-4“.

Harry Dickson uśmiechnął się z zadowoleniem:

— Doskonale, Castairs, przyjemnością jest pracować z panem!

Młodzieniec zarumienił się z radości:

— To przecież nie wielkiego — wyjąkał.

Opuścili pokój, aby udać się do kuchni, gdzie przy słabym ogniu szczap drzewnych siedział na małym stołeczku Wall Bradeck, ze związanymi rękami i czekał. Był to szczupły mężczyzna o wychudłej twarzy i przebiegłych oczach. Jego wąsy, pozółkłe od tytoniu i alkoholu, zwisały nad ustami. Jego mocno czerwone policzki i wychudła pierś, wstrząsana od czasu do czasu ostrym kaszlem, wykazywały zaawansowaną gruźlicę. Nosił stary gumowy płaszcz czapkę marynarską i gumowe buty.

— Uprzedzam pana, że wszystko co pan powie... — zaczął Goodfield.

— ...Może być zwrócone przeciwko panu! — dokończył kryminalista, — znamy to, nie od dzisiaj!

Nagle spojrzenie jego padło na Harry Dicksona i twarz mu się rozjaśniła:

— Cóż za niezwykle honor! — zawołał, — Przysłać Harry Dicksona osobiście dla Wall Bradecka! Teraz jestem spokojny, że osiągnę sławę za życia

— Dlaczego to, lajdaku? — spytał cierpko Goodfield. — Zdaje mi się, że jesteś o krok od szubienicy!

— Zdaje ci się, mój panie! — rzekł pogardliwie Bradeck. — Mówię ci, że jestem teraz spokojny, dostanę najwyżej dwa lata paki, za usiłowanie włamania i pošlę mnie do więziennego szpitala, wiesz przecież, jaki jest stan mojego zdrowia!

Zwrócił się do Castairsa:

— Mój kochany, nie znam pana wcale i jest pan pewnie nowicjuszem w naszym zawodzie, ale niech pan sobie zapamięta jedno: nigdy Harry Dickson nie powiesi niewinnego, nawet jeśli on będzie w typie Wall Bradecka, który ma za sobą już trzydzieści dwa wyroki, ale żadnego za zabójstwo. Widzi pan, nie lubię krwi i zresztą mam swoją zasadę: „nie zabijaj!“

— Tymczasem powiedz nam co robiłeś tutaj w noc zbrodni! — przerwał zniecierpliwiony Goodfield.

— Ależ z największą przyjemnością! Śledziłem Lewis Bella i widziałem że sprzedał drób na jarmarku w Covent Garden i zarobił na tem sporo pieniędzy. Potem poszedł pić, do gospody, w której bywałem częstym gościem. Tam przeliczył swe pieniądze, schował do skórzanego woreczka i powędził do siebie: „Oto co ukryje pod moją poduszczką!“ Pomyślałem sobie, że warto będzie obejrzeć sobie bliżej tę jego poduszkę i dlatego przybyłem do Bushtree.

— Pan był tu już pewnie przedtem? — spytał Harry Dickson.

— Nic się nie ukryje przed panem, królu detektywów! — zawołał wesoło złodziej. — Rzeczywiście, osiemnaście dni przedtem byłem tu, aby zbadać teren, jak to się mówi. Nie było to trudne: przyjechałem tutaj, jako sprzedawca papieru listowego i zapalek i wyrzucono mnie za drzwi. Ale zdażyłem obejrzeć pokój gospodarza i widziałem okienicę, która źle się zamykała. Zobaczyłem także całą

Baterię butelek, pełnych i pustych, stojących koło łóżka i to mi dało dobry obraz człowieka, który w nocy spał: co wieczór zapewne upijał się, jak baba. Odchodząc spostrzegłem psa podwórzowego: był dziki i bardzo chudy, widocznie nie najadał się nigdy dosyć. Mam czułe serce dla zwierząt, więc powiedziałem sobie, że przynajmniej raz w życiu biedaczysko musi zjeść pasztet z wątroby. To prawda, że włożyłem tam trochę trucizny na szczury, ale nie zrobiłem tego dla przyjemności! Wczoraj wieczorem podrzuciłem mu pół funta tego pasztetu, co dla niego było zaledwie jednym kęsem. Wiem z doświadczenia, że taka potrawa nie bardzo służy zwierzętom i że potem przez jakieś dziesięć minut wyją głośno. Nie mógłbym tego słuchać, takie mam czułe serce dla nich. Poszedłem więc na spacer i wróciłem po pół godziny. Pies już się nie ruszał. Począłem pełzać w stronę okiennicy i ku mojemu zdumieniu ujrzałem, że okiennica była otwarta i okno także.

Nie mam zaufania do zbyt łatwej roboty i dlatego poruszałem się dalej z jeszcze większą ostrożnością. Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy nagle usłyszałem ostry głos dochodzący z pokoju:

— Wiem, że ty to masz, Bell spiesz się, gdyż inaczej za chwilę znajdziesz się w objęciach śmierci!

— Nie, ja nic nie mam! — jęczał farmer.

— Jeszcze tylko minuta...

Wtedy usłyszałem, że farmer mówił coś cichym głosem, tak cichym, że nie słyszałem słów. Potem doszedł mnie odłós szamotania się i oto było wszystko. Przestraszyłem się i uciekłem, ale gdy szedłem drogą, zdecydowany powrócić do Londynu, zacząłem rozmyślać że tyle pracy poszło na marne nie licząc kosztów pasztetu i trucizny! Nie mogłem znieść takiej straty. Ktoś inny ma zbierać owoce mego trudu? Będę czekał na nieznanego współnika i zażadam od niego mojej części, nie będąc jednak zbyt wymagającym.

Ukryłem się za krzakami i czekałem. Wkrótce ujrzałem ciemną postać na drodze. Był to człowiek otulony czarnym płaszczem, w masce na oczach, zupełnie jak z filmu. Gdy przechodził obok mnie wstałem:

— Dobry wieczór, — rzekłem, — jest pan bardzo samotny!

Nie powinienem był tego powiedzieć. Otrzymałem potężny cios w głowę i upadłem. Ale nie zorientowałem się, że za krzakami był głęboki rów. Staczałem się z ogromnej wysokości i zdawało mi się, że zatrzymam się dopiero w piekle. Ale nic podobnego nie zaszło: upadłem na trawę i błoto. Uczułem wściekły ból w lewej nodze i w tej chwili usłyszałem, że mój znajomy szuka mnie na górze, przeklinając ze złością:

— Wylaż, — krzyczał zduszonym głosem, — dam ci pieniądze! Chodź tu, jestem twoim przyjacielem!

Oho! znam takich przyjaciół! Chciał mnie tak urządzić, żebym już w przyszłości o niczym nie mógł mówić. Postanowiłem więc nie wychodzić. Przeszedł pewien czas, a ponieważ obawiałem się zasadzki, przeleżałem nieruchomo aż do brzasku. Z trudem wychodziłem z rowu. Nie mogłem chodzić prędko, gdyż noga dokuczala mi bardzo. Wtedy policjanci, jadący na motocyklach spostrzegli mnie i schwytały. Powiedzialem wszystko...

— Czy mógłbyś określić dokładnie swego napaśnika? — spytał Goodfield.

— Nie, ale mam wrażenie, że był to ktoś z lepszej sfery!

— Dlaczego?

— Gdyż, nawet przeklinając, mówił jednak językiem literackim, nie był to z pewnością typ z dzielnicy Wapping, czy Houndsditch!

Goodfield, który notował wszystko zwrócił się do szeryfa:

— Pan weźmie jakieś auto, szeryfie, i zawiezie oskarżonego do Londynu, oto nakaz aresztowania!

Ważny na dwa lata, — odrzekł niepoprawny Bradeck, — chyba, że przyznają mi okoliczności łagodzące, co nie jest wykluczone. Ja znam prawo, panowie!

Dał się słyszeć warkot motoru przed domem. Kurier pocztowy wszedł i zasalutował:

— Biuro pocztowe jest zamknięte, — oznajmił, — urzędnik, którego wyznaczaliśmy na czasowego zastępcę Pollocka, puka napróżno w drzwi i okiennice oberży.

Merchant, który słyszał to, zbliżył się.

— Stara Madge jest głucha, jak pień, ale wstała bardzo wcześnie. To dziwne, że jeszcze nie wstała...

Policjanci wymienili zatroskane spojrzenia:

— Może pójdziemy tam, Mr. Dickson? — spytał Goodfield.

Detektyw wyraził gestem zgodę. Gdy zbliżyli się do oberży, ujrzał nowego urzędnika, pukającego napróżno do drzwi. Dickson zawołał go:

— Czy otrzymał pan pocztę wczoraj wieczorem? — zapytał.

— Tak, Sir, ale nie ma nic ważnego, a ponieważ drzwi są zamknięte nie została jeszcze posegregowana i doręczona adresatom.

— Co zawierała?

— Tylko prospekty instrumentów rolniczych dla farmerów okolicznych i jedną próbkę bez wartości, pod adresem niejakiego Elie Smithersona.

— Czy znasz kogoś w okolicy o nazwisku Elie Smitherson? — zapytał Dickson Merchanta.

Starzec potrząsnął głową.

— Mieszkam tu od pięćdziesięciu lat, ale nie znam nikogo o takim nazwisku, Sir! — odpowiedział.

— Adresat nieznanym, — rzekł Georgers Castairs, patrząc na detektywa.

— Rzeczywiście — odparł ten głucho, — tego się obawiałem...

— Co, nowa zbrodnia... — zaczął Goodfield.

Merchant uderzył mocno dłonią w drzwi, które wreszcie ustąpiły. Weszli do pokoju, w którym mieściło się biuro. Pocztę leżała na stole. Harry Dickson wziął do ręki małe tekturowe pudełko

— Puste, — mruknął, — naturalnie...

Ale po chwili odrzucił je z wściekłością:

— Tego już za wiele! Spójrzcie co jest napisane na etykiecie!

Georges Castairs podniósł pudełko i on z kolei drgnął:

— „X — 4“ — krzyknął, — co za diabeł gra tę komedi!

W tem Goodfield zawołał ich do wnętrza domu:

— Do licha! bandyta zamordował tę biedną staruszkę! Cóż za ohyda!

Madge Evans leżała za kontuarem, całkowicie ubrana. Miała głęboką ranę w szyi, przez którą uleciało jej życie. W chwili śmierci miała wyciągnięte ramiona, jakgdyby chciała czegoś bronić.

— Kontuar został gruntownie przeszukany i ta biedna starszuszka musiała wiedzieć że zawierał on ważne rzeczy. Ach, sekretna szuflada jest otwarta!.. Castairs zwrócił na to uwagę i znów Harry Dickson musiał mu przyznać rację:

Harry Dickson wyciągnął skrytkę i obejrzał uważnie: białe płateczki wyfrunęły.

— Oczywiście! — powtórzył ponuro.

Odwrócił się do towarzyszy, ale oni nie patrzyli na niego. Oczy ich zwrócone były w stronę muru, na którym Georges Castairs pokazywał napis „X-4“!

## Sierżant Castairs traci odwagę

Harry Dickson czytał biuletyn, który mu przyniósł urzędnik z laboratorium analiz Scotland Yardu.

— Wall Bradeck dostanie dwa lata a może tylko osiemnaście miesięcy! — rzekł do Toma Willsa:

— Znaleźliśmy rzeczywiście arszenik w jego kieszeniach, ale analiza dowiodła, że pies został otruty strychniną. To znaczy, że parę minut później, jak Bradeck podrzucił mu pasztet z trucizną, jeszcze przed skutkiem ktoś inny poczęstował go strychniną. Ta druga trucizna podziałała szybciej. Bradeck więc nie kłamał.

Wrzucił biuletyn do szuflady biurka i rzekł:

— Skarżyłeś się, Tomie, że nie bierzesz udziału w tej sprawie. Obarczę cię więc śledztwem, które, choć może wyda ci się nudnym, przyniesie nam prawdopodobnie dobre rezultaty. Jest jakaś tajemnica w życiu oberżysty z „Arki Noego“. Wykryj ją.

— Hm, — mruknął młodzieniec, — Magde Evans mogłaby nam coś w tej sprawie powiedzieć, ale teraz... no, trudno, będę szukał...

— I być może, znajdziesz. Nadawca przesyłek „bez wartości“ mieszka w Londynie i nie czyta gazet, gdyż inaczej nie przysyłałby ich człowiekowi zamordowanemu!

— Ale czy były one przeznaczone dla Pollocka? Nie przypuszczam!

Harry Dickson roześmiał się:

— Były, Tomie. Nazwiska zmyślone napisane w adresie, znaczyły coś dla Pollocka: były przeznaczone osobiście dla niego!

— Więc dlaczego na przesyłce dla Barta Williamsa napisał on „nieznany“?

— Harry Dickson poklepał go po ramieniu:

— Brawo, Tomie, nie wiesz wcale, jak ważne jest to pytanie. Więc dobrze, w nagrodę za to, że mnie o to zapytałeś, odpowiem ci: napisał to, gdyż ktoś, kogo on znał, był obok niego w pokoju, ktoś, kto przeczytał adres razem z nim!

★

Sierżant Castairs, zaopatrzonego w pełnomocnictwa, zjawił się w kancelarii więzienia Newgate, gdzie przebywał Wall Bradeck. Po załatwieniu formalności wszedł do specjalnej rozmównicy, do której po kilku chwilach wprowadzono też oskarżonego. Sierżant z gestem odprawił strażnika i usiadł naprzeciw więźnia przy stole, który wraz z dwoma krzesłami stanowił całe umeblowanie pokoju.

Castairs pierwszy raz zetknął się z atmosferą więzienną i odniósł ponure wrażenie. Chociaż była to najjaśniejsza godzina dnia, rozmównica była tak ciemna, że trzeba było zapalić lampę. Wall Bradeck usiadł wygodnie na krześle i poprosił o papierosa. Młody detektyw nie wiedział dobrze od czego ma

właściwie zacząć przesłuchanie i patrzył na Bradecka z niepokojem, czekając, aby ten przyszedł mu z pomocą. Złodziej zauważył to i roześmiał się:

— Nie oczekuj wiele ode mnie, młody przyjacielu! — rzekł dobrodusznie, — dostanę tylko osiemnaście miesięcy, specjaliści zapewnili mnie o tym!

— Jeśli się nie mylę, obstate pan przy swym systemie obrony?

— Obrony? — odparł przestępca — ale ja się wcale nie bronie, przeciwnie, przyznaję się, ale tylko do tego, co popełniłem.

Zbyteczne byłoby opisywać rozmowę, która potoczyła się dalej. Przejdźmy lepiej od razu do faktów, które ją zakończyły.

Strażnik, który wprowadził Castairsa, nie asystował przy widzeniu. Przechadzał się tymczasem po korytarzu, przyzwyczajony do tego rodzaju spacerów. Nie był człowiekiem ciekawym. Zamknięte drzwi rozmównicy nie przyciągały jego uwagi. Przechadzał się w jedną i drugą stronę, rozmyślając o swoich własnych sprawach. Po pewnym czasie jednak skonstatował, że rozmowa w sąsiednim pokoju przeciąga się zbyt długo. Przeszedł więc przed drzwiami i chrząknął parę razy dyskretnie, potem jeszcze raz, głośniejsze.

— To wprowadzie niegrzecznie i przepisy nie pozwalają na to, ale jednak zapukam, — rzekł do siebie.

— I zapukał delikatnie w drzwi rozmównicy. Nie było żadnej odpowiedzi.

Wobec tego, zaniepokojony, zapukał głośniejsze, ale napróżno. W tej chwili spostrzegł zwierzchnika w głębi korytarza i zawołał go.

— Proszę zobaczyć, szefie, zdaje mi się, że coś jest nie w porządku w rozmównicy. Stukam, pukam i nic... a już dwie godziny oni tam siedzą i nie słyszą, aby rozmawiali.

— Któż tam jest?

— Wall Bradeck i detektyw z Yardu; jestem bardzo niespokojny, ale nie mam prawa otworzyć drzwi!

— W tym wypadku ja mam to prawo, — rzekł zwierzchnik i bez żadnych formalności przycisnął klamkę, pchnął drzwi i...

Z ust ich wydarły się okrzyki przerażenia, potem, opamiętawszy się, wyciągnęli z kieszeni gwizdki i rozpoczęli alarm.

Więzień i detektyw leżeli bez ruchu na podłodze.

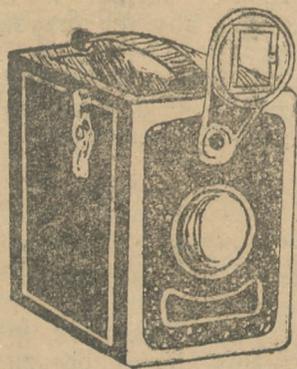
— Ten jeszcze oddycha, — rzekł policjant, wskazując na Castairsa, — ale biedny Wall wydał już swoje ostatnie tchnienie. Co, u diabła zająć mogło w tym pokoju?

Ani Goodfield, ani Harry Dickson, wezwani natychmiast, nie umieli znaleźć odpowiedzi na to pytanie, mimo gorączkowych poszukiwań.

Bradeck zginał. Wąski i długi sztylet tkwił w jego sercu. Castairs miał więcej szczęścia, identyczny nóż zrobił mu tylko łagodną ranę utkwioną w mięśniach ramienia, ale nastąpił u niego wstrząs nerwowy, serce osłabło i oczy nabrały szklatego połysku.

— Gdyby strażnik wszedł o godzinę później, mieliśmy teraz dwóch zmarłych, zamiast jednego, — rzekł lekarz więzienny.

— Jak pan wytłumaczy ten podwójny dramat, Mr. Dickson? — zapytał Goodfield. — Mam nadzieję, że nasz protegowany szybko powróci do zdro-



## APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAŻDEGO!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały, popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten, odznaczający się wysoką precyzją wykonania, robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Wyniki fotografowania bardzo dobre. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze — to też każdy może nim bez specjalnego przygotowania, od razu robić zdjęcia. Aparat fotograficzny „Rekord” wysyłamy w ozdobnym futerale, łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i pouczeniem za Zł. 8.95 na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze.

Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, WARSZAWA, Pl. Napoleona I, skr. poczt. 802 H. D.

wia i będzie nam mógł opowiedzieć, co się stało. Zastanówmy się: drzwi rozmównicy były zamknięte, strażnik przechadza się po korytarzu, a jest to człowiek zupełnie pewny. Jest tylko okno, ale zamknięte.

— Nie, — odparł Harry Dickson.  
— Być może, ale jest okratowane!

— Między kratami jest dość duża przestrzeń, aby mogły przedostać się dwa noże, zręcznie rzucone zewnątrz. Patrz, broń jest pochodzenia meksykańskiego i służy tylko do takich sztuczek. Zresztą tajemniczy morderca podpisał swoje dzieło, spójrz na wgłębienie w ścianę, jest to miejsce, gdzie ręka z zewnątrz mogła się z łatwością dostać, aby napisać, co chciała.

— „X-4”! — jęknął Goodfield, patrząc na dwa znaki, narysowane węglem.

— Obejrzyjmy podwórze z tej strony! — rzekł Harry Dickson.

Policjant zaprowadził ich na miejsce. Okno z rozmównicy wychodziło na małe, porośnięte trawą podwórko, otoczone wysokim murem, w którym były tylko maleńkie okienka.

— Więźniowie nie mają tu dostępu, — tłumaczył im dyrektor więzienia. Dawniej mieściły się tu warsztaty pracy, ale teraz to miejsce jest zupełnie opuszczone.

— A jednak ktoś pracował tu niedawno, — rzekł detektyw, — są wydeptane ślady na trawie, a tutaj stoi drabinka...

— Przeprowadzamy tu obecnie remont, Sir, — rzekł jeden z dozorców, a ponieważ więźniowie nie mają tu dostępu, zatrudniliśmy ludzi z zewnątrz.

— Chciałbym natychmiast zobaczyć ich i przesłuchać! — zawołał Goodfield. — Co pan o tym myśli, Dickson?

— Zostawiam to panu, drogi superintendencie, — odrzekł detektyw, — ja wrócę jeszcze do rozmówcy.

W ciemnej celi fotograf zrobił już potrzebne zdjęcia. Wyniesiono zwłok Bradecka, a niefortunnego, początkującego detektywa przeniesiono do sąsiedniego szpitala.

— Oto, — mruzczał detektyw — znajdujemy się przed nowym wyczynem tajemniczego „X-4”... Dlaczego „X-4”? A no zobaczymy... Wall Bradeck musiał znaleźć się tutaj, zwrócony prawie zupełnie w stronę okna. Tak... z pewnością. Ale w takim razie musiałyby spoznać człowieka, pojawiającego się przed kratami. Morderca musiał więc działać z niezwykłą szybkością. A więc tak...

Wziął oba sztylety, leżące na stole, zawinięte starannie przez Goodfielda w chusteczkę.

— Niezrównany Goodfield! Myśli tylko o odciskach palców, jakgdyby one mogły sprawić najmniejszy kłopot bandycie tego rodzaju!

Oglądał drewniane rękojeście przez szkło p. —

większające:  
— Rękawiczka, — rzekł ironicznie, — naturalnie... Ale a propos rękawiczek...

Spostrzegł parę skórzanych rękawiczek, złożonych starannie na stolicku przed kominkiem i poznał je.

— Biedny Castairs — rzekł, — to był bardzo staranny chłopiec!

Oglądał żyłki w skórze rękawiczek.

— Na rękajeściach noży są podobne ślady, warte one są tyle, co ślady gołej ręki! Zbrodniarz nosił chyba rękawiczki ze skóry łani.

Wolnym ruchem zapalił fajkę i przez kółka z dymu patrzył w zadumie na znaki wypisane węglem na murze.

— „X-4” — rzekł cicho, — jesteś diabelnie zręczny, a mimo to mam wrażenie, że zbłądziłeś. Nie wróżę nic dobrego kryminaliście, który podpisuje swoje czyny, jest w tym dużo dumy, za dużo pewności siebie, a przede wszystkim za dużo romantyzmu... Zła to rzecz w twoim nędznym zawo-  
dzie, mój drogi, bardzo zła...

Rozmyślania jego przerwał wejście Goodfielda, zniechęconego i rozczarowanego.

— Dwóch murarzy pracowało na tym podwórzu, ale już sześć dni temu — rzekł — to dzielni ludzie, ale oni sami przyznają, że bardzo możliwe, że ktoś dostał się do warsztatu. Nie przedsięwzięli specjalnych środków ostrożności, gdyż żaden więzień nie wchodził tu nigdy.

— Logiczne, — rzekł Harry Dickson, ale nie dodał nic więcej.

Wieczorem otrzymali pocieszające nowiny o Castairsie. Po przebudzeniu się zaraz zasnął znowu i doktor sądził, że już nazajutrz będzie go można przesłuchać.

Ale następnego dnia Harry Dickson otrzymał od „uczniacza czarnoksiężnika” list.

„Panie Dickson! Jestem złamany, rozczarowany, nieszczęśliwy ponad wszelkie wyobrażenie. Straciłem zaufanie do siebie i nie śmiałybym pokazać się moim przełożonym, jako zwyciężony.

Odchodzę... Wysłałem swoją dymisję do Scotland Yardu, ale nie porzucę sprawy, przeciwnie, chcę pracować sam, swobodny w myślach i czynach.

Jestem zrozpaczony, że nie mogę panu nic powiedzieć w związku z wczorajszym tragicznym wydarzeniem: poczułem nagle, że ktoś mnie uderzył, odczułem straszliwy ból w piersi, przy szyi.

Pomyślałem w pierwszej chwili, że to Bradeck... ale to nie było tak, on patrzył na mnie ze zdziwieniem. A potem... nic już nie wiedziałem.

Mój pielęgniarz opowiedział mi, że on upadł zaraz po mnie, pod ciosami tajemniczego „X-4”. Jadę na jego poszukiwanie, chcę znaleźć „X-4”! Pozwólcie mi wypróbować moje możliwości.

Adieu, Mr. Dickson, i, jeżeli znajdę „X-4”, do zobaczenia!

Georges Castairs“.

Harry Dickson potrząsnął głową w zamyśleniu:

— O, młodości, zarozumiała młodości, — mruzczał, — w tym postępowaniu poznaje cię dobrze!

W ciągu dnia musiał wysłuchać długich jemiad Goodfielda:

— Ten smarkacz Castairs! Zniechęcił się taką drobnostką! Uciekł o świcie ze szpitala, w którym leżał. I pomyśleć że został mi polecony o-so-biście, Mr. Dickson, o-so-biście!

## Przygoda Toma Willsa

Minęło kilka dni, a Tom Wills nie wpadł jeszcze na trop tajemniczego nadawcy „próbek bez wartości”. Ale młodzieniec nie zniechęcił się tak szybko, postanowił tylko zmienić nieco swój plan działania.

— Ponieważ nie mogę znaleźć nadawcy, — powiedział sobie. — Mogłbym również dobrze wykryć złodzieja i doszedłbym do celu inną drogą.

Krażył podczas deszczu po brudnych i ponurych uliczkach dzielnicy Soho. Uwagę jego zwróciła jedna z ulic, gdzie przeważnie mieściły się sklepy ze starzyzną. Po raz dwudziesty chyba odczytywał niemieckie rosyjskie i włoskie nazwiska, na szyldach.

— Zatrzymam się przy Petrowie, — postanowił, — to paser odważny i przebiegły!

Młody detektyw wybrał sobie za miejsce obserwacji okno pewnej oberży, której właściciel był na usługach Scotland Yardu. Z okna tego musiał widzieć każdego, kto wchodził, lub wychodził ze sklepu.

Była godzina czwarta po południu i zaczynało się już ściemniać. Przez brudne szyby sklepiku Petrowa widać było słaby płomyk lampki gazowej i Tom spostrzegł łysą głowę właściciela, pochyloną nad kontuarem. Wtem do sklepu wszedł ktoś. Sylwetka ta wydała się Tomowi znajoma. Towarzyszył on w ostatnich czasach swemu mistrzowi podczas śledztwa w Bushtree i stąd przypominał sobie postać tego człowieka. Nie mógł sobie jednak zdać sprawy, kto to był. Mężczyzna ubrany był w gruby płaszcz podróżny, niebieska chustka otulała mu szyję oraz dolną część twarzy, a duży, czarny, filcowy kapelusz opadał mu na oczy. Tomowi zdawało się, że widzi błysk okularów, gdy nieznajomy przechodził obok wystawy. Ale uwagę jego zwracał chód oraz ruchy tego człowieka. Widział je już kiedyś. Przechodzień zatrzymywał się przed wystawami, ale najwięcej zdawało się pociągać ta, którą obserwował Tom.

Przeszedł przed nią kilkakrotnie tam i zpowrotem, wahając się widocznie. Wreszcie powziął postanowienie, z gestem nagłej decyzji, wszedł.

Tom Wills zauważył, że Rosjanin pochylił głowę na powitanie. Potem widział tylko dwa cienie na tle lampy, rozmawiające z sobą, pochylające się

nad niewidocznym przedmiotem, leżącym na kontuarze.

Wreszcie klient wyszedł, wyraźnie niezadowolony, ruszył w dół ulicy z opuszczoną głową, pogrążony w zadumie.

Tom zawahał się. Co czynić? Iść za nim? Czy wejść do handlarza? Zdecydował się na drugie. Zresztą zapamiętał sobie, że klient skręcił w ulicę na prawo i że szedł wolnym krokiem, tak, że Tom z łatwością mógłby go dogonić.

— Dobry wieczór, Petrow! — rzekł Tom, pchnawszy drzwi.

Rosjanin poznał wchodzącego:

— Pan Wills? Czemu przypisać mam zaszczyt ujrzenia pana w moim skromnym domu? Wie pan dobrze, że nie pragnę niczego więcej, jak przysłużyć się panu i pańskiemu znakomitemu mistrzowi!

— Dość, stary, powiedz mi lepiej, co chciał sprzedać ten klient, który przed chwilą stąd wyszedł? Mówię chciał, gdyż po jego minie widziałem że nie udało mu się tego dokonać.

Handlarz roześmiał się:

— Od kiedy to Petrow skupuje odłamki potłuczonych butelek — rzekł.

— Nie będę przed panem tail, Mr. Wills, ten człowiek chciał mi sprzedać kawałek szkła, który on nazywał diamentem.

— Był to więc diament małej wartości?

— Ależ nie, fałszywy, zwyczajne szkiełko, warte szylinga!

— Czy on zabrał to ze sobą?

— No chyba! Czy chciał pan, abym to uczynił? Ja handluję tylko dobrym towarem panie Wills!

Tom nie słuchał dłużej i zaczął biec ulicą. Ale widział przed sobą tylko nielicznych przechodniów we mgle, a i ci także spieszyli do domów, gdyż zaczynał padać drobny, zimny deszczyk.

— Wybrałem złą drogę! — klął Tom Wills, — ach, dałbym wiele, aby się dowiedzieć, kto ukrywa się pod czarnym płaszczem!

Przeszedł przez Tottenham-road, potem Highstreet i Kingsway, zastanawiając się, czy nie byłoby lepiej zrezygnować z tej pogoni i wrócić na Bakerstreet.

Na ulicy Aldwych zatrzymał go zator samochodów: wielki autobus zepsuł się i szofer czynił daremne wysiłki, aby ruszyć go z miejsca.

— Boska Opatrzność! — zawołał Tom.

Spostrzegł bowiem człowieka, którego szukał, siedzącego wewnątrz autobusu plecami, zwróconego do ulicy. Młodzieniec wskoczył na platformę wozu, właśnie w chwili, gdy wysiłki szofera zostały uwiecznione pomyślnym skutkiem. Był to jeden z autobusów, jadących do Tamizy. Szyby były zamglone i mimo wysiłków, Tom widział jedynie sylwetkę, widzianą już w Soho. Zresztą człowiek ten siedział otulony swoją chustką, jakgdyby nie chciał być poznany przez nikogo. Nagle, przy Shadwell, podniósł się, przeszedł między stojącymi pasażerami i wysiadł.

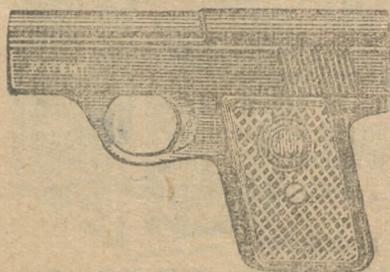
Po chwili Tom poszedł za jego przykładem.

Nieznajomy szedł teraz nieco szybciej, jak człowiek, który śpieszy do celu. Toma paliło pragnienie, aby go zaczepić, ale zdawał sobie sprawę z tego, że miejsce nie było do tego odpowiednie. Ciemne sylwetki przesuwwały się wokół nich, groźne światelka migotały w oknach tawern.

Jednak mężczyzna wybrał jedną z nich, o której Tom wiedział, że nie ma ona najgorszej opinii. Oberża „Pod srebrnym jabłkiem“ była miejscem

## Sensacyjna nowość 1938!!

### Automat-pistolet „GROM“



Fason belgijski Kal. 6-cio mm. Repetuje się przed każdym strzałem, automatycznie wyrzuca łuski. Huk ogłuszający. Idealna obrona przed napadem! Wykonanie luksusowe: lufa pięknie oksydowana, rekojeść kryta błyszczącym bakelitem! Waga 200 gr. długość 10 cm. szer. 5 cm. Gwarancja fabryczna na 5 lat. Cena

tylko zł. 6.95, 2 sztuki 13.50. — Setka naboju syst. „Flobert“ zł. 3.65. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona I, skrz. poczt. 802 H. D. Uwaga! Wystrzegaj się taniej tandety, polecanej przez pokatych sprzedawców, którzy przyrzekają magazynki, naboje, futerały i nie dodają. Zamawiając u nas, be dziecie zadowoleni.



spotkań handlarzy warzyw, rybaków i ogrodników, byli to ludzie uczciwi.

Jedynie okienko baru nie było jeszcze zasłonięte i Tom wspiąwszy się na palce, widział, że mężczyzna wszedł, przyjaznym gestem powitał oberżystę i udał się do wnętrza mieszkania.

Tom Wills powziął nagłą decyzję.

Wszedł do tawerny, obejrzał się wokoło ze zdziwioną miną, jakgdyby szukał kogoś i krzyknął: — Proszę dla mnie grog z rumem, ale... cóż to... już poszedł?

Oberżysta zrozumiał, że Tom szuka klienta, który wszedł przed chwilą.

— W tej chwili wszedł do swego pokoju, panie, pod numerem 5.

— Doskonale, zejdziemy razem, proszę tymczasem przygotować grog.

Oberżysta nie podejrzewał żadnego podstępu i skinął głową.

Tom przeszedł przez dalszą pustą salę, następnie korytarz pełen skrzyń i pak, ujrzał schody, które go zachęciły i zaryzykował.

Nikłe światelko rzuciło niepewne blaski na klatkę schodową, przeciągi powodowały migotanie płomyka, a wtedy na ścianach ukazywały się jakieś dziwne cienie. Znalazłszy się na piętrze, młodzieniec bez trudu odnalazł pokój Nr. 5, oznaczony kredą. Przez moment wahał się, niezdecydowany.

Ciężkie kroki rozległy się za zamkniętymi drzwiami, ktoś maszerował nerwowo tam i zpowrotem. Z największą ostrożnością Tom przycisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły: były zamknięte od wewnątrz. Wobec tego zapukał.

— Kto tam? — zapytał zduszony głos.

— To grog! — rzekł Tom.

— Nic nie stałowałem, — odparł głos, — ale nie szkodzi, można podać.

Przekrecono klucz w zamku i drzwi otworzyły się. Tom zobaczył nędzny pokój hotelowy, oświetlony świecą, umieszczoną w butelce. Mieszkaniec pokoju stał przed światłem, tak, że Tom nie mógł go rozpoznać, lecz sam za to znajdował się w pełnym oświetleniu.

Ujrzał, że nieznajomy drgnął i uczynił gest przerażenia.

— Do licha! — krzyknął i nagle zdmuchnął światło. Nieprzenikniona ciemność otoczyła detek-

tywa, zmieszanego tym nagłym manewrem. Szybko jednak zorientował się i wyciągnął swoją kieszonkową latarkę.

Nie zdążył jednak. Spiżowa dłoń chwyciła go za gardło i rzuciła o ścianę. Niemniej jednak młodzieniec nie zrezygnował z obrony i zaciśniętą pięścią uderzył nieznanego przeciwnika prosto w twarz. Cios był dobrze wymierzony, ale nieznajomy nie drgnął nawet, przeciwnie, Tom poczuł się nagle związany, podniesiony i rzucony na łóżko, poczem żelazna ręka poczęła szukać jego gardła, znalazła je i zaciśnęła się. Wszystko to było zrobione tak błyskawicznie, że Tom poczuł się zwyciężony na całej linii, niezdolny do wydania z siebie okrzyku. Ruchy jego przeciwnika były pewne i obliczone. Tom widział już tylko przed sobą jakieś zapalające się światelka, słyszał bicie dzwońców, szum wypełniał mu czaszkę: dusiła go bezlitosna ręka i śmierć była już bardzo blisko. Myśli zaczynały mu się mącić, gdy nagle poczuł odprężenie.

Szyja jego była wolna, powietrze gwałtownie napełniło jego wymęczone płuca.

Tajemniczy nieprzyjaciel został z kolei napadnięty przez kogoś, z kim walczył, leżąc na podłodze. Parę chwil minęło zanim Tom powrócił do przytomności, ale mózg jego już zaczął pracować.

Zapalił swoją lampę kieszonkową i jasnym promień światła padł na pokój. Ujrzał dwóch ludzi, walczących zajadłe ze sobą.

— Stać! — krzyknął. — Podnieście się, lub strzelam!

Walka momentalnie ustała.

— Niech pan nie strzela do mnie, panie Wills!

— Pan Castairs! — krzyknął zdumiony młodzieniec.

Ex-sierżant podniósł się i poprawił ubranie.

— Przypuszczam, że mogę teraz stanąć przed Mr. Dicksonem i Goddfieldem! — rzekł z miną triumfującą, — choć część sukcesu przypada panu, Mr. Wills.

Georges Castairs, pomimo opuchniętej twarzy, uśmiechnął się radośnie. Człowiek, leżący na podłodze, poruszył się.

— A to wpadłem! — mruknął, podnosząc się.

Tom zapalił świecę i czerwone światło padło na twarz napastnika.

— Dobry Boże! — zwołał młodzieniec, — toż to jeden z naszych starych znajomych z Bush-tree, Bob Merchant!

— Tak, — mruknął tamten, wściekle, — Bob Merchant, proszę mnie teraz zaarrestować, przecież to pana obowiązek!

— Na szczęście zachowałem to jako pamiątkę ze Scotland Yardu, — rzekł Georges Castairs, zakładając kajdanki na dłoń przeciwnika.

Tom Wills, zapominając o swem bolącym gardle i pokrwawionych wargach, zatarł ręce z zadowoleniem.

— Piękny dzień, panie Castairs, — rzekł, — mamy nareszcie człowieka, który był nam potrzebny!

Zdawało mu się, że tajemnica Bushtree wyjaśniła się. W rzeczywistości, zagmatwała się jeszcze bardziej.

★

Tegoż wieczora Bob Merchant był przesłuchiwany w biurze Goodfielda w Yardzie. Georges Castairs, triumfujący, siedział dumnie na fotelu, jak król na tronie.

— Wie pan sierzancie, — rzekł do niego Goodfield, — nie miałem dotąd odwagi przedstawić pańskiej dymisji naszemu dyrektorowi, uważałem ją za chwilowe zniechęcenie. A teraz wrzucę ją czempredzej do kosza.

Castairs zgodził się z uśmiechem. Musiał wysłuchać powtórnie podziękowań Toma Willsa, potem rumienił się z radości, ściskając dłoń Harry Dicksona.

— Dobra robota, Castairs, — rzekł mu tylko i to było dużo.

Następnie Goodfield uzbrowszy się w pióro i papier, zaczął przesłuchiwać Merchanta.

— Mam nadzieję, Merchant, że przystąpisz od razu do zeznań, to jedyny sposób, aby coś wskórać u sędziów!

— Zeznań! — krzyknął wieśniak, rzucając wściekle spojrzenie na Toma i Castairsa. — Cóż mam zeznawać? Zostałem napadnięty w moim własnym pokoju i broniłem się, oto wszystko.

— Nie chodzi o to — rzekł Goodfield, — opowiedz nam, skąd pochodzi diament, który chciałeś sprzedać Petrowowi!

Oskarżony zaśmiał się dziko:

— Diament! Wspaniale, doprawdy! Brudny kawałek szkieleka! I pomyśleć, że ja wydałem cały funt na to, aby przyjechać do Londynu i wziąć mieszkanie, nie licząc dni pracy, które straciłem w Bushree! Czekaście, pokażę wam ten diament!

Zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu, lecz w miarę tego widać było na jego twarzy wrastające zdenerwowanie. Poszukiwania nie dały rezultatu.

— Do diabła, zniknął mi gdzieś!

— Nie troszcz się o to, — rzekł Goodfield, — to się często zdarza u kryminalistów, gdy się czują osaczeni!

— Kryminalistów? Ależ ja nie jestem kryminalistą! Znalazłem ten przekłety kamień, przysięgam!

— Przestań lepiej, krzywoprzysięstwo to ciężki grzech dla człowieka, którego czeka stryczek!

Wieśniak zbłądł słysząc te groźne słowa.

— Stryczek? Ależ dlaczego? Ja nie zabiłem nikogo! Nawet nie ukradłem! A walka, którą stoczyłem z tymi dwoma łobuzami? Mówiłem wam przecież, że oni zaczęli!

— Dlaczego zakrywał pan twarz, chodząc po mieście? — spytał Tom.

— Bardzo słuszne pytanie, — rzekł protekcjonalnie Goodfield.

— Bo, przynajmniej, ta cała sprawa ze znalezionym diamentem trochę mnie przeraża. Wiedziałem dobrze, że mogą mnie ukarać za to, że nie doniosłem o tem policji. Ale diabeł mnie kusił... Taki diament, jak ten, ma chyba wartość setek tysięcy, — powiedziałem sobie, — a ja jestem biednym człowiekiem...

— No, dobrze, jeżeli go znalazłeś, opowiedz nam, jak to się stało — rzekł Goodfield ironicznie.

— To było w pokoju, w którym umarł Lewis Bell, — rzekł Merchant cicho. — Ujrzałem, że coś błyszczy na ziemi pod łóżkiem... był to diament. Podniosłem go, był piękny Następnego dnia pojechałem do Londynu i spytałem mego gospodarza, gdzie mogę sprzedać klejnot rodzinny. Wskazał mi ulicę w Soho

Harry Dickson, który dotychczas słuchał w milczeniu, zapytał:

— A więc nazajutrz po zbrodni zabrałeś ten diament, prawda Merchant?

Mężczyzna rzucił zdumione spojrzenie na detektywa.

— Ależ nie, dopiero dwa dni temu! — odparł:

— Naturalnie ten człowiek kłamie, — rzekł Goodfield.

— Naturalnie, — przyznał Harry Dickson, ale Tomowi wydało się, że słyszy jakiś dziwny ton w jego głosie

## Egzekucja

— Czy mogę poprosić o głos na parę minut? — zapytał, wstając, Georger Castairs.

Goodfield spojrzał na niego z sympatją.

— Bardzo prosimy, przyjacielu, widzi pan, jak bardzo był nam pan użyteczny dotychczas i jestem przekonany, że będzie pan takim nadal.

— Dziękuję panu, ale pragnąłbym, aby oskarżonego wyprowadzono.

— Nic łatwiejszego!

Goodfield zadzwonił, kazał wyprowadzić Merchanta do sąsiedniego pokoju i nie spuszczać go z oka. Gdy w pokoju pozostali tylko Dickson, Wills, Goodfield i Castairs, ten ostatni zaczął mówić:

— Jest zupełnie zrozumiałe, że jeżeli Merchant jest winny, to jest on tylko współnikiem.

— Jako, — krzyknął Goodfield, — czyż Merchant nie mógł działać sam? Uważam, że wygląda na odważnego!

— Sierżant Castairs ma rację, — rzekł Harry Dickson, — ale chciałbym, aby jaśniej wypowiedział się w tej sprawie.

— Otóż, — rzekł Castairs, — nie powinniśmy zapominać o nieprzeciętnej złośliwości, z jaką popełniane były ostatnie zbrodnie. Nie mogły one być dziełem samego Merchanta. Jak można przypuścić, że ten prosty wieśniak zabawiać się będzie podpisywaniem dziwacznych znaków „X-4”? A jeżeli nawet czynił to w Bushree, to jakże mógł to zrobić w więzieniu Newgate, gdzie ja padłem, jako pierwsza ofiara tego tajemniczego przestępcy?

Goodfield z zakłopotaniem podrapał się w brodę, Harry Dickson uśmiechnął się.

— Byłoby panu łatwo. Mr. Goodfield — ciągnął dalej młody sierżant, sprawdzić obecność Merchanta w Bushree, w dniu niewytłomaczonego napadu w Newgate. Ale to zbyt trudne.

— Dlaczego? — zapytał Goodfield.

— Ponieważ ja to wiem! — brzmiała odpowiedź. — Nie spuszczałem Merchanta z oczu już od wielu dni! Znam jego każdy krok!

— Wobec tego ma on szansę uniknięcia szubienicy! — mruknął Goodfield.

— W żadnym wypadku!

— Dlaczego? — zapytał superintendent

— Gdyż on zabił!

— Kogo? Pollocka? Lewis Bella? Starą Madge Evans? Wall Bradecka? Nie? No więc kogo? — krzychał Goodfield.

— „X-4!”

— Cooo? — krzyknęli wszyscy razem.

— Czy pozwolą państwo wprowadzić oskarżonego Merchanta? — spytał poprostu Castairs, siadając.

Merchant został wprowadzony.

— Czy mogę zadawać mu pytania? — zapytał Castairs.

— Dobrze, sierzancie, — zgodził się Goodfield, zupełnie oszołomiony.

## CUDA I TAJEMNICE

### CZARNEJ I BIAŁEJ MAGJI

każdy, kto chce wzbudzić w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magji, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Lustro magiczne, latający zegar. Tańczące jabłko. List w jajku. Jajo w butelce. Śpiewająca fiaszka. Sztuki z rachunkami, z kartami, z zakresu akustyki, optyki, pirotechniki. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy 8 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z pięknymi ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. Adresuj: Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa I Pl. Napoleona skr. poczt 802 H.D.

**NIE ZWLEKAJ SZYBKO ZAMAWIAJ!**  
 UWAGA: Bezpłatnie dodajemy najnowszą wszechświatową książkę p. t. „Sztuka wróżenia z kart i rąk” według słynnej wróżki Napoleona I. P. Lenormand.



— Merchant, — rzekł Castairs, — mówiąc. **Że znalazłeś diament, kłamałeś! Dostałeś go!**

Wieśniak drgnął, twarz mu zsiniała.

— Kto... kto... mógł powiedzieć taką straszną rzecz?

— Kobieta! — rzekł Castairs niewinnym głosem, — kobieta, ubrana czarno, i, jeśli się nie myle, blondynka!

— O, **podła**, — jęknął Merchant — wydała mnie!

— No, dalej, Merchant, — rzekł Goodfield, — **przyznaj się!**

— A więc dobrze... ona oddała mi ten kamień, gdyż prosiłem ją o pieniądze, aby... aby...

— A nawet, — rzekł łagodnie Castairs, — **wyrwałeś go jej z rąk a potem zabiłeś ją.**

Merchant jęknął glucho:

— Ona... nie żyje? O, Boże, przecież ja nie chciałem tego! Pokazywała mi ten kamień, mówiąc: Merchant, oto nasz majątek, to jest wartość pięć tysięcy funtów, a są jeszcze inne. Chciałem jej go zabrać, ale wtedy uderzyła mnie pięścią w twarz i potem spostrzegłem, że wyjęła sztylet z pod płaszcza, aby ze mną skończyć, więc uderzyłem ją, ale nie chciałem jej zabić.

Merchant załamał się:

— Zróbcie ze mną, co chcecie, ale ja tego nie chciałem, niech Bóg zlituje się nade mną.

Odmówił dalszych zeznań, został odprowadzony do więzienia i zamknięty w celi. Gdy odszedł, pomimo spóźnionej pory Castairs zdał detektywowemu raport ze swych ostatnich poczynaniach.

— Nie wiem dlaczego, — mówił — ale coś ciągnęło mnie do Bushtree, zdawało mi się, że tam jeszcze nie wszystko skończono. Pewnego wieczora zdziwiłem się niezmiernie, ujrawszy Merchanta, idącego w stronę opuszczonego miejsca z dala od drogi i od zabudowań. Domyśliłem się, że zaczyna się dzieło coś podejrzanego. Zatrzymałem się przy kamieniolomach; ukryłem się za kamiennym blokiem i nie spuszczałem zeń oka. Wkrótce potem usłyszałem kroki i ujrzałem czarno ubraną i zawołaną kobietę idącą ścieżką przez pola. Była smukła i wysoka, wydawała się młoda. Odbyła z Merchantem krótką rozmowę, poczem pożegnała się. To było wszystko tego wieczora.

Po dwóch dniach spotkanie powtórzyło się. Nie mogłem niestety słyszeć ani jednego słowa, ale w świetle księżyca widziałem, że Merchant

gestykulował z wściekłością, a kobieta broniła się. Rozegrał się dramat, krótki i straszliwy.

Upadając z wysokości, uderzyła głową o kamienie, tak, że twarz jej przedstawiała bezkształtną masę i nie można było rozróżnić jej rysów. Tejże nocy powróciłem na to miejsce w towarzystwie szeryfa z Chipping Barnet, którego wtajemniczyłem w moje plany. Zdecydowałem się przenieść zwłoki w zupełnej tajemnicy do Barnet i umieścić w prosektorium, nie zawiadamiając o tym Yardu.

Georges Castairs zawahał się na chwilę.

— Rozumiecie sami, chciałem mieć pełną satysfakcję i zdaje mi się, że cel został osiągnięty.

Następnego ranka śledziłem Merchanta w drodze z Bushtree do Londynu. Ku mej wielkiej radości spostrzegłem po południu, że jest on także śledzony przez pana Willsa. To pokrzyżowało wprowadzić moje plany, przyznaję ale miałem za to okazję wyświadczyć mu drobną przysługę.

— Powiedz mi, Castairs, — rzekł Harry Dickson, — co nasunęło ci myśl, że tajemnicza dama była właśnie tajemniczym „X-4”?

Młody sierżant poszukał w kieszeniach i wyciągnął z tamtąd kawałek węgla do rysowania w nikłowej oprawie.

— Oto jest pióro, — rzekł.

— Ale tożsamość tej diablicy?

Castairs wzruszył smutnie ramionami...

— Ani kawałek papieru nie było więcej, ani kamyczka nic, nic... trzeba było szukać widocznie jeszcze wcześniej.

— W każdym razie, — rzekł na zakończenie Goodfield, — wiem, że jutro będzie w Yardzie jeden sierżant, który otrzyma rangę inspektora.

★

Sprawa była prowadzona bardzo starannie, lecz identyczności „X-4” nie udało się ustalić. Merchant nie przyznał się do udziału w zbrodniach, jedynie do kradzieży fałszywego diamentu i zadania ciosu nieznanemu kobiecie.

Ogół jednak domagał się ofiary a raczej kozła ofiarnego. Nikt więc nie zdiwił się, gdy po dość długich naradach i pomimo świetnej mowy obrończej adwokata, zapadł wyrok:

— Winien... na śmierć!

Przewodniczący włożył czarną togę, by wypowiedzieć złowrogie słowa:

— Skazany na śmierć przez powieszenie...

Egzekucja odbyć się miała dopiero za trzy tygodnie.

Georges Castairs zyskał ogromną sławę. Otrzymał nie tylko wyższą rangę ale i powszechne uznanie. Nie uczyniło go to jednak zarozumiałym.

— To właściwie tylko połowa zwycięstwa, — mówił do Harry Dicksona — a pozatem... nie mam odwagi przyznać się do tego nawet przed sobą, lecz, chociaż wiem, że słuszna kara spotyka zbrodniarza, czuję pewien strach przed sobą. Nigdy nie będę dobrym detektywem, mam na to za słabe nerwy i zbyt dużo wyobraźni.

Otrzymał trzy tygodnie urlopu, który postanowił spędzić na wsi z dala od Yardu, Newgate i szubienicy.

Trzy tygodnie upłynęły.

Była godzina ósma, tłumy tłoczyły się na Paternoster-Row. Auto zatrzymało się przed główną bramą więzienia i wysiedli z niego przy-

siegli, czarno ubrani. Tłum liczył na to, że ujrzy choć przez chwilę kata Jacka Ketcha, ale nie wiadano, że ten wszedł przed chwilą podziemnym przejściem i że tamtędy też będzie wychodził.

Przed bramą zatrzymało się jeszcze jedno auto, z którego wysiadło dwóch gentlemenów. W tłumie rozległ się szmer:

— To on... to Harry Dickson i jego uczeń Tom Wills!

Weszli, drzwi zamknęły się za nimi; za chwilę wewnątrz rozegrać się miał ponury dramat.

Ośma piętnaście! Otworzyły się drzwi celi, pastor odczytywał już ostatnie modlitwy. Bob Merchant stał i słuchał jego monotonnego głosu, twarz jego miała wyraz obojętny, zdawał się nie wiedzieć, co się działo wokół niego.

W tej chwili przysięgli odeszli i skazaniec pozostał sam. Człowiek w szarym stroju pchnął go lekko przed siebie i zarzucił mu na twarz czarną chustkę. Sznur zakolysał się i opadł na jego ramiona.

Nagle rozległ się głos:

— Merchant!

Skazaniec nie poruszył się.

Ktoś zbliżył się do niego i szepnął mu kilka słów do ucha. Merchant zadrżał gwałtownie. I nagle padł zemdłony w ramiona Harry Dicksona.

★

W górze, na wierzy, we mgle, zwolna wciągano czarny sztandar z dużą białą literą N w środku.

## Ferma, w której straszny

Dom Lewis Bella był to czarny, smutny budynek, grożący zawaleniem. Wewnątrz była to długa amfilada ciemnych pokoi o wąskich oknach. Obecnie dom był opuszczony, drzwi i okiennice pozamykane, a nawet opieczętowane.

Pewnego wieczoru stary Triggs, który pracował jako najemnik u okolicznych farmerów, wracał z Chipping Barnet, po solidnej porcji brandy i piwa. W innych okolicznościach Triggs byłby na tyle przeczorny, aby nie przechodzić obok opuszczonego budynku, ale alkohol dodał mu odwagi, a zresztą noc była chłodna i nie chciał nakładać drogi, opóźniając przez to powrót do domu.

Był już koło budynku, gdy nagle stanął jak wryty z przerażenia: jakaś ciemna postać poruszała się pomiędzy krzakami.

Triggs nie mógł biec, ani nawet krzyczeć, stał jak posąg. Postać poruszała się zwolna i wreszcie wynurzyła się z ciemności. Nieartykułowany dźwięk wydobył się z piersi Triggsa, gdyż w świetle księżyca poznał strasznie zsiniałą twarz: twarz Boba Merchanta.

Triggs stracił przytomność.

Jakie było jednak jego zdziwienie, gdy się obudził. Przypuszczał, że znajdzie się wśród sług szatana, w samym środku piekła, a oto leżał na dużej miękkiej kanapie, w jasno oświetlonym pokoju, umeblowanym tak pięknie, że zdawało mu się, że to tylko sen.

— Jestem tutaj, — myślał, — więc pewnie widmo mnie zabiło, umarłem. Ale on nie mógł mnie zabrać z sobą do piekła! Właśnie Bóg odpuścił mi wszystkie grzechy i oto jestem w raju. Ale pomimo to jestem głodny...

W tej chwili jakgdyby jakiś anioł opiekuńczy usłyszał te słowa, drzwi otworzyły się i miły głos kobiety zapytał:

— Co pan jada na śniadanie, panie Triggs?

— Kurę, — wyjąkał Triggs, choć jadł ją w życiu może dwa razy.

Pocziwa kobieta uśmiechnęła się i w pół godziny później powróciła, niosąc pieczeń z kurczęcia, różową szynkę i marmeladę wiśniową. Potem postawiła przed nim butelkę czerwonego wina i flaszkę whisky.

— Może pani będzie łaskawa mi powiedzieć, czy w tym raju wolno palić — rzekł Triggs.

Kobieta uśmiechnęła się i podała mu pudełko doskonałych cygar.

— I pomyśleć, że to będzie trwało całą wieczność, — cieszył się Triggs.

Wkrótce odkrył, że jego apartament był komfortowy. Znalazł tu książki z obrazkami, które bardzo lubił różne fajki i patefon, który zaraz nastawił. Były tam wprawdzie tylko walce i marsze wojskowe, ale Triggs właśnie ten rodzaj muzyki uważał za najładniejszy.

Kolacja jego była równie luksusowa, jak i obiad, a gdy kładł się spać, ujrzał na łożku białą, flanelową piżamę, co napełniło go dumą i zachwytem.

— Czy mógłbym zrobić mały spacer po ogrodzie? — zapytał następnego dnia.

Na to mu jednak nie pozwolono; nie miał jednak pretensji.

Był zachwycony swoim losem i poprosił gospodynię o poradnik rolniczy. Książka ta została mu dostarczona jeszcze tegoż dnia.

★

Pewnej nocy, która nastąpiła później, jakiś człowiek szedł opuszczoną drogą w stronę fermy Bella. Widocznie nie obawiał się, jak Triggs, duchów o północy, gdyż szedł rażno do celu.

Przyszedłszy na miejsce, dotknął woskowych pieczęci, nałożonych przez władze i potrząsnął głową.

— Nietknięte... a więc trzeba czekać.

Chociaż było ciemno, jak w studni, doświadczonymi palcami zdjął jedną z pieczęci, wsunął klucz w zamek i po chwili znalazł się w jednym z ciemnych korytarzy tragicznego domostwa. Stał przez chwilę, nadsłuchując.

Panowała zupełna cisza. Mężczyzna stapał na czubkach palców, jakgdyby znajdował się w domu zamieszkałym i nie chciał przerwać jego lokatorom snu. Doszedł do schodów i wszedł na poddasze, ciemne i zakurzone. Wydawało mu się jednak, że był zadowolony, gdyż odetchnął głęboko, zbliżył się poomacku do stosu skrzyń, zdjął jedną z nich, nie czyniąc najmniejszego szelestu i usiadł.

Trwało to długo. Co pewien czas mężczyzna patrzył na zegarek. Cyfry i wskazówki były fosforyzowane i wskazywały późną godzinę.

— Trzecia nad ranem, — mruknął, poczem znów zastygł w bezruchu.

— Czwarta, — rzekł, gdy jeszcze jedna godzina minęła.

Głos jego zdradzał już pewne zdenerwowanie.

— Nie może się więc zdecydować, — rzekł sobie cicho.

Nagle nadstawił uszu. Cichy szmer dochodził z parteru, tak słaby, tak nikły, że można było przypuszczać, że to szczur spaceruje po podłodze.

Mężczyzna podniósł się spiesźnie, zachowując jednak poprzednią ostrożność: nie czynił więcej hałasu, niż liść rzucony wiatrem. Zaczął schodzić ze schodów, trzymając się ścian, przez co kroki jego stawały się niedosłyszalne.

Z pokoju na dole dochodziły teraz wyraźniejsze odgłosy: ktoś pukał, bił młotkiem i podnosił jakieś przedmioty.

I nagle w głębi korytarza zapaliło się światło. Był to tylko błysk, lecz mężczyzna zdążył zobaczyć.

Posunął się dalej, przeszedł korytarz i dotarł do pokoju, który znów pogrążony był w ciemnościach. Usłyszał głuche uderzenie potem znów nastąpiła cisza.

Bardzo słabe, zamglone światelko przedostawało się teraz przez wysokie okratowane okno. Wystarczyło ono jednak nocnemu gościowi, aby zorientował się w sytuacji.

Ujrzał otwartą szafę z wylamanym zamkiem i uśmiechnął się gorzko:

Czoło jego zmarszczyło się. Zacierał ręce zdenerwowany i niezadowolony.

— Niedługo słońce wszędzie i dzień znów stracony... a jednak nie wolno go stracić, do licha!

Rozejrzał się dokoła i naraz twarz mu się rozjaśniła:

— Właściwie czemuż nie? Szkody nie będą takie wielkie!

Spostrzegł duże snopy słomy zgromadzone w kącie strychu. Wziął sporą wiązkę na ramiona i zszedł z pierwszych stopni schodów.

Cóż to, wielki detektyw staje się zwykłym podpalaczem?

Bez wahania zapalał jedną wiązkę po drugiej. Były trochę wilgotne, nie dawały więc wielkiego płomienia, dymiąc za to obficie.

Klatka schodowa napelniła się swadem spalizny. Harry Dickson otworzył okno i wiatr ożywił ogień. Wkrótce już parter objęty był płomieniami i detektyw sam zmuszony został do ucieczki. Wbiegł po schodach z płonąca wiązką w rękę.

— Czy to nie pomoże? — szepnął i bolesne zwątpienie wkradło się do jego serca.

Słychać było trzaskanie belek i już ogień przedostawał się na strych ze wszystkich stron. Harry Dickson rzucił snopek gestem wściekłości i rozpacz. Żywiół, który rozniecił, zaczął mu zagrażać. Musiał opuścić to miejsce.

Podbiegł do okna, otworzył je uderzeniem pięści i znalazł się na dachu. Błyskawice płomieni i iskier wydobywały się z budynku.

Nagle detektyw wydał okrzyk radości:

Tam, w głębi równiny, spostrzegł dwa błyski ognia; pochodziły z tragicznego kamieniołomu, w którym znalazła śmierć tajemnicza „X-4”.

Harry Dickson skoczył na ziemię, która nie była zbyt daleko od dachu i zaczął biec jak szalencie, poprzez równinę.

Było już zupełnie jasno; cienie czały się jeszcze jednak w opuszczonym kamieniołomie, do którego biegł.

Gdy zbliżył się do brzegu przepaści, usłyszał stamtąd przerażony głos:

— Łaski! Łaski! Nie to niemożliwe... Odejdź, szatanie! Litości!

Harry Dickson pochylił się i ujrzał dość strome zbocze, po którym można było zejść w dół. Gdy uczynił to, oczom jego przedstawił się dziwny widok.

Jakiś człowiek o płonącym wzroku trzymał pod groźbą rewolweru innego człowieka, skulonego przed nim, który wodził wokół przerażonymi oczami.

— Bardzo dobrze, drogi Bobie Merchant, — rzekł Harry Dickson, — opuść swój rewolwer, reszta już należy do mnie.

Brutalnym ruchem chwycił skulonego człowieka za kołnierz od palta i postawił go przed sobą. Bob Merchant wydał okrzyk zdziwienia.

— Skończona komedia, Georges Castairs, — rzekł twarde Harry Dickson, zakładając zęcym ruchem kajdanki na dłonie drżącego mężczyzny, — jesteś bardzo zdolnym chłopcem i Scotland Yard, oddając się w ręce kata, straci naprawdę doskonałego detektywa.



— Ależ nie, Goodfield, niech pan nie ma takiej skruszonej miny. Ja sam też dałem się nabrać przez Castairsa. Rozpatrzmy wszystko:

Georges Castairs był biedny, pożera go pragnienie zrobienia w jaknajkrótszym czasie majątku. Zwraca na siebie uwagę Sir Rogera Hat. erburna, oddając mu ukradzioną książkę. Nie odnalazł jednak złodzieja, gdyż był nim on sam. Mając taką protekcję, z łatwością mógł zrobić karierę policyjną. Ale ten zawód nie wzbogaca, pan wie o tym dobrze, Goodfield, i Castairs śmiał się z naszywek i zaszczytów. Liczył tylko na jakieś wielkie przestępstwo, które było mu tym łatwiej popełnić, że sam był związany z policją.

Przypadek przyszedł mu z pomocą: zaczęła się sprawa w Bushtree. A oto cała tajemnica: pocztmistrz Pollock należy do bandy złodziei drogich kamieni. Jest jej szefem. Kto mu przysyłał klejnoty i do kogo on je z kolei wysyłał, to, przypuszczam, wykryje się w toku śledztwa, ale w danej chwili schodzi to na plan drugi. Wysyłka drogich kamieni, jako próbki bez wartości to bardzo sprytny pomysł.

Pewnego wieczoru Pollock otwierał jedną z przesyłek w chwili, gdy Lewis Bell, wiedząc, że jest jakiś list dla niego, spojrzął przez okno. Farmer spostrzegł klejnoty, ale nie dał tego poznać po sobie. Zapukał i Pollock otworzył mu, nie podejrzewając. Wszedłszy gawędził z oberżystą o tym i o owym, gdy nagle wzrok jego pada na nieznaną adres na przesyłce. Zwraca tym uwagę Pollocka, który natychmiast píše na etykiecie: „nieznany”. Ale Bell zapragnął drogich kamieni, które widział. Zabił Pollocka, wziął klejnoty i poszedł do siebie.

Podziwiamy Castairsa — odgadł lub wywnioskował wszystko.

Wyobraźnia podsunęła mu możliwość zrobienia majątku, nie zwracając przeciw sobie niczyich podejrzeń.

Wszedł w nocy do Lewis Bella i kazał oddać sobie rzecz ukradzioną. Ten odmówił, lecz przypadek zrzucił, że włóczęga Bradeck wszedł w tej chwili do mieszkania. Castairs przestraszył się, zabił Bella i uciekł bez kamieni.

Ale nie był on rutynowanym kryminalistą był romantykiem, jak wszyscy początkujący. I wtedy stworzył „X-4”.

Przychodzi mu na myśl, że Pollock może mieć u siebie schowane inne klejnoty. Udaje się więc w nocy do oberży i odnajduje rzeczywiście kasetkę. Zostaje jednak przyłany przez starą Madge i również pozbawia życia.

I znów pojawia się „X-4“.

Ale Castairs obawia się Bradecka... decyduje się na wielką grę.

Udaje się więc na przesłuchanie do więzienia. Poprzednio jednak dowiaduje się, że najemni robotnicy pracują na podwórzu, na które wychodzi okno rozmównicy. Zaopatruje się w meksykańskie sztylety zabija Bradecka, zadaje sam sobie łagodną ranę po czyn symuluje osłabienie, aby uchodzić za człowieka podstępnie zranionego i na to my, niestety daliśmy się nabrać.

I znowu podziwiać należy jego logikę: zostawia w rozmównicy rękawiczki, które mogą być noszone obustronnie i przez które trzymał noże. To było nadzwyczajne i Castairs wykazał niezwykłą odwagę.

Zanika na pewien czas pod pozorem rozterki duchowej, wstydu i dymisji. W rzeczywistości krąży dokoła fowarku Bella, gdzie przypuszcza, że ukryte są klejnoty. Próbuje więc pozyskać Merchanta dla swego planu. Merchant jednak waha się, pertraktując z tą dziwną, zawołowaną kobietą. Gdyż Castairs przebrał się za kobietę, co nie było dla niego trudno przy jego figurze.

Teraz zaczyna się jego kombinacja naprawdę nadzwyczajna. Potrzebna była jakaś ofiara dla uspokojenia publiczności, a także trzeba było, aby „X-4“ zniknął, gdyż Castairs wie, że nikt nie będzie mógł przypuszczać, aby Merchant był tym tajemniczym złoczyńcą.

W kostnicy wystarał się o trupa młodej kobiety, takiego mniej więcej wzrostu, jak on sam. Ubiera zwłoki w tę samą odzież i kładzie w kamieniołomach, zmasakrowawszy poprzednio twarz, aby utrudnić rozpoznanie. Następnie gra ostatni akt komedii przed Merchantem, którego ściągnął do kamieniołomów. Pokazuje mu kamień, oczywiście fałszywy. To, co przewidział, następuje: Merchant skuszony, przywłaszcza sobie kamień, tajemnicza kobieta czy ni ruch, jakgdyby chciała zamierzyć się na niego sztyletem. Merchant broni się i Castairs stacza się w przepaść. Ale pada on łagodnie, co również jest przewidziane w jego planie.

Resztę znamy. Zdemaskował on Merchanta, który przerażony i zdumiony, nie może się bronić. Merchant zostaje „powieszony“ a X-4, pozostawszy tajemnicą, jest zamordowany.

Castairs sądzi teraz, że ma wolną rękę w poszukiwaniu drogocennych kamieni w opuszczonym domu Bella.

Pozwoliłem Castairsowi myśleć, że Merchant został powieszony a kiedy w ostatniej chwili ten zemdlał, to dlatego, że powiedziałem mu, że uniknie śmierci.

Liczyłem na to, że zjawienie się Merchanta przerazi Castairsa i postawiłem go w kamieniołomach, gdzie jak przypuszczałem, istnieje podziemne przejście do domu Bella. Ale było ono tak dobrze ukryte, że ani ja, ani Merchant, nie mogliśmy go odnaleźć. Gdy zrozumiałem, że wymyka mi się z rąk, podpaliłem dom Bella, gdzie Castairs znalazł każdy zakątek i gdzie poszukiwał skradzionych kamieni. Dym i płomień zmusiły go do ucieczki znaną drogą i wtedy Merchant schwytał go.

O mało nie przeszkodziło mi pojawienie się starego Triggsa. Gdyby zaczął on opowiadać o pojawieniu się Merchanta, mogłoby to wywołać podejrzenia ze strony Castairsa i ten mógłby wykryć prawdę. Nie zastanawiałem się więc i uwięziłem Triggsa u siebie na Bakerstreet, gdzie Mrs Crown troszczy się o niego.

— Ale jak pan doszedł do najmniejszych choćby poszlak w tej ciemnej i zawikłanej sprawie? — zapytał Goodfield.

— Przez tysiąc drobnostek, Goodfield, a także przez to, że Castairs popełnił wielki błąd. Wie pan przecież, że zwłokom przechowywanym w kostnicach zastrzykuje się formalinę. Ciało rzekomego „X-4“ było nią przesiąknięte... Ujrzałem wtedy prawdę jasno i wyraźnie, ale potrzeba mi było dowodów, mocnych dowodów, gdyż Castairs był diabelnie zręczny.

— A klejnoty, przechowywane w domu Bella, czy odnajdziemy je?

Harry Dickson roześmiał się:

— Od dłuższego czasu już znajdują się w Salfesie Scotland Yardu, mój drogi. Był ktoś, zręczniejszy od Castairsa, a mianowicie Wall Bradeck. Gdy Castairs pobił go na drodze, miał on odwagę powrócić do domu Bella i znalazł z łatwością klejnoty, schowane w starym buciku farmera. Gdy oznajmiłem mu, że dostanie tylko kilka miesięcy wężenia, powiedział mi, gdzie je ukrył: pod kępą krzaków na podwórzu farmy.

— Przez wzgląd na opinię Yardu nie chciałbym, aby ten diabeł Castairs został powieszony — rzekł Goodfield.

— I nie będzie, Goodfield, — rzekł detektyw, — wiem bowiem, że w pierścieniu ukrył on straszliwą truciznę. Nie kazałem mu jej zabierać...

Tak się stało. Georges Castairs sam wymierzył sobie sprawiedliwość, po raz ostatni unikając karzącej ręki Temidy.

**Koniec.**

Następny **Nr. 27 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dnia 12-go lipca zawierać będzie przygodę p. t.

**„Hotel emigrantów“**  
CENA 10 GR. CENA 10 GR.



# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

### Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- |                                    |                               |
|------------------------------------|-------------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“                   | 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY     |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 14. ŻYJĄCY BUDDA              |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“         | 15. WIDMO TUŁACZA             |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“              | 16. SKRADZIONY TESTAMENT      |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“             | 17. DUCH ŚWIATŁA              |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“             | 18. CZERWONA DAMA             |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“                 | 19. MIASTO PIRATÓW            |
| 8. „KRÓL NOCY“                     | 20. POSTRACH LONDYNU          |
| 9. „POSEPNA KABALA“                | 21. Tajemnica Łodzi podwodnej |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“          | 22. NIEBIESKI BOCIAN          |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“             | 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO.      |
| 12. „KAPIANKA OGNIĄ“               | 24. HAWAJSKI SZTYLET.         |
|                                    | 25. WOSKOWE JABŁKO            |

Czytajcie

Czytajcie

## PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

Cena

10 gr.

szyt, stanowiący oddzielną całość

10 gr.

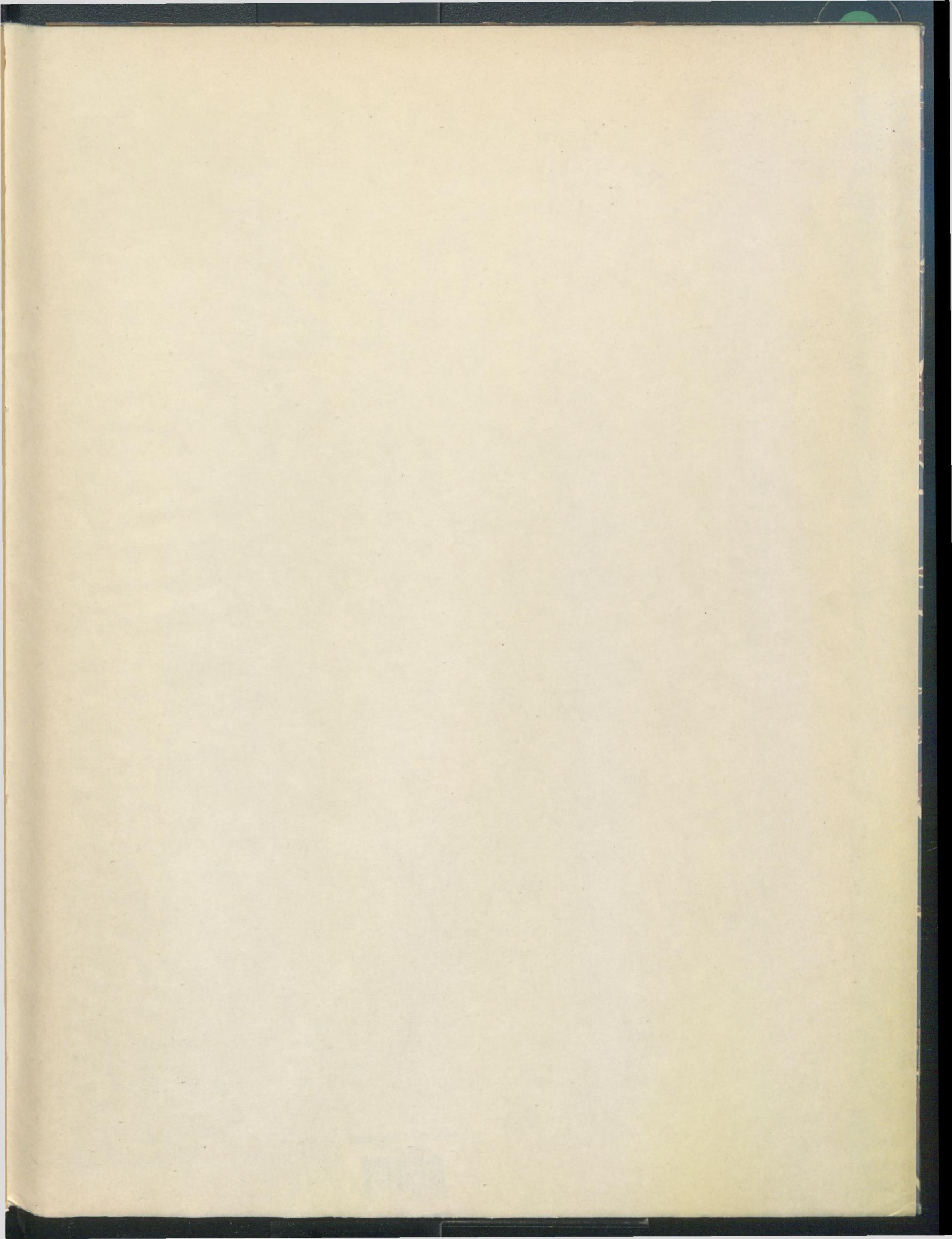
Wydawca: Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak.

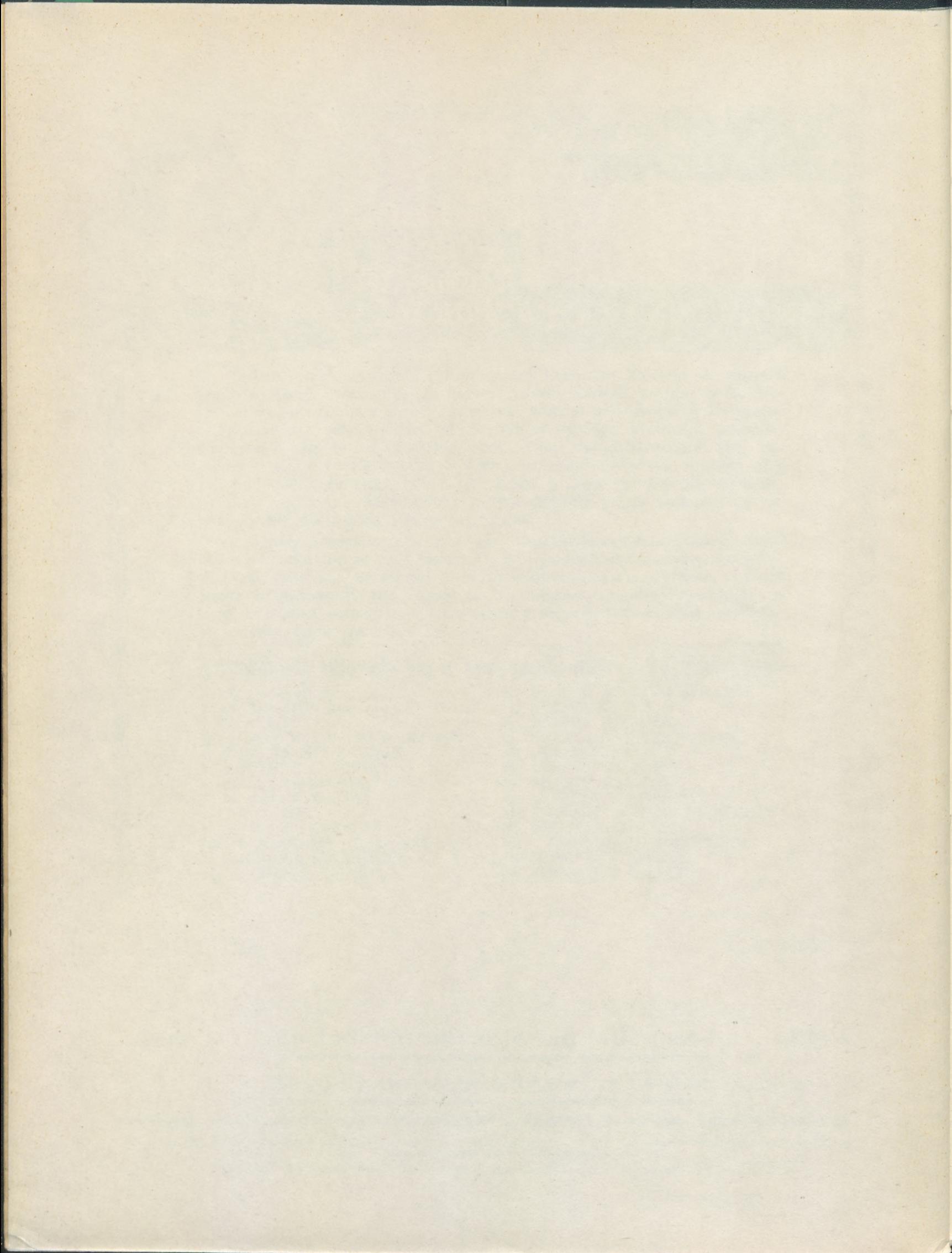
Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak

Odbito w drukarni własnej Łódź, Piotrkowska Nr. 49 i 64

Konto PKO 68.148 adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56

6175/38





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001C24366005



24j  
623405

26

BN

BN

BN

BN